Nr. 21. Warszawa, dnia 15 (27) Maja 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Konferencye w Hadze.

I.

Dnia 24 sierpnia 1898 r. Minister spraw zagranicznych, hrabia Murawiew wystosował do wszystkich posłów w Petersburgu depeszę okólnikową o następującej treści:

Ideałem rządów w chwili obecnej musi być nietylko utrzymanie pokoju, ale i zmniejszenie nadmiernych uzbrojeń. W dążeniu do tego ideału narady między państwami pozwolą obmyśleć najodpowiedniejsze środki. W ostatnich dwudziestu leciech pragnienie pokoju silnie wrosło w ludy, stało się natchnieniem polityki międzynarodowej. Dla pokoju zawierano przymierza, dla pokoju rozwijano w niebywałych przedtem rozmiarach potęgę wojskową, nie cofając się przed żadnymi nakładami. Ale wszystkie wysiłki nie zdołały sprowadzić upragnionego stanu. Ciężary, ponoszone przez narody, odwracają fizyczne i duchowe ich siły, pracę i kapitał od właściwego przeznaczenia. Setki milionów idą na ulepszenia, które dziś są ostatnim słowem doskonałości, a jutro mogą utracić wszelką wartość wskutek nowych wynalazków. Kultura, postęp, wytwórczość nie znajdują się w godziwym stosunku do wciąż postępujących uzbrojeń. Brzemię nakładów wojennych przygniata narody, wywołuje przesilenia ekonomiczne, a nagromadzenie materyału wojennego ostatecznie samo podtrzymuje niebezpieczeństwo wojny. Jasną jest rzeczą, że jeśli tak dalej pójdzie, nadmierne uzbrojenia sprowadzą właśnie tę katastrofę, której zapobiedz miały, a która zgrozą przejmuje umysły. Z tych powodów Rząd Cesarski proponuje mocarstwom zebranie się na wspólne narady nad sprawą tak poważną. Byłoby to pomyślną wróżbą dla nowego nadchodzącego stulecia; byłoby solidarnem uświęceniem zasad prawa i sprawiedliwości, na których opiera się bezpieczeństwo państwa i pomyślność ludów.

Ogół rządów europejskich powitał propozycyę gorącem uznaniem; jedna tylko Anglia najmniej okazała skwapliwości w podejmowaniu myśli rzuconej; Niemcy objawiły niewiarę w powodzenie, ale chętnie na konferencyę przystały. Im państwo mniejsze, tem rząd do narad nad dobrodziejstwami ograniczenia uzbrojeń skorszy. Wielkie mocarstwa odrazu poczyniły zastrzeżenia co do stanu posiadania, miał on pozostać nietykalnym, jak i same stosunki traktatowe i polityczne, w biegu będące. Oczywiście, wymaganie to stanowiło warunek utajony w samej nocie p. ministra spraw zagranicznych; wydobycie go wszakże na jaw i wypowiedzenie głośne wzmocniło widoki wspólnych narad. Rokowania między gabinetami zajęły całą jesień i zimę. Porozumiewano się nietylko względem granic tej dobrej woli, z jaką każdy przyjść musiał na konferencyę, ale i względem przedmiotów i miejsca narad i samego wreszcie dopuszczenia pojedynczych państw, rzecz prosta, mniejszych. Stany Zjednoczone Ameryki północnej długo ociągały się ze swojem *placet*. Małe znowu państewka zbyt ochoczo się narzucały. Za przyjęciem Czarnogórza poszło i przyjęcie Bulgaryi, choć hołdowniczej w stosunku do Turcyi. Anglia usunęła Transwal. Z Azyi stanęły Chiny i Japonia; dopuszczono też i Siam. Kubę wzięły na siebie Stany Zjednoczone. Papież dopominał się głosu w sprawie, która w znacznej mierze jest sprawą praktycznego chrystyanizmu; ale przemógł wzgląd na politykę: zasiadać obok pełnomocników włoskich nie mogli pełnomocnicy mocarstwa duchownego, skłóconego z Włochami; przytem żywioł polityczny w samych przedmiotach narad okazał się przeważającym: tak, iż dla papieża ścisła logika, niezależnie od niechęci wielu uczestników, nie zostawiała miejsca.

Podczas trwających rokowań dla ułatwienia ich, minister spraw zagranicznych, hrabia Murawjew, wydał w d. 24 stycznia r. b. okólnik, ujmujący ogólnikową myśl z d. 24 sierpnia r. z. w formy ustalonych już i wyszczególnionych propozycyj. Był to zupełny programat czynności, wskazanych przyszłej konferencyi w ośmiu następujących punktach:

1) Utrzymanie dotychczasowych budżetów i etatów liczebnych wojska lądowego i floty—wraz z oznaczeniem terminu trwania stanu obecnego i wskazaniem zasad do zmniejszenia w przyszłości i budżetów i etatów.

2) Wzbronienie nowej broni palnej i nowych materyałów wybuchowych silniejszych od obecnych.

3) Wzbronienie środków wybuchowych niezwykle silnych i wyrzucania pocisków z balonów i innych przyrządów (prócz karabinów, kartaczownic i dział).

4) Zakaz używania łodzi torpedowych podwodnych i zniesienie t. zw. ostróg przy okrętach wojennych.

5) Rozciągnięcie na wojny morskie konwencyi genewskiej z d. 22 sierpnia 1864 r. i konwencyi dodatkowej z d. 20 października 1868 r., które dotyczyły tylko wojen lądowych, a wskutek tego

6) uznanie okrętów, statków i szalup do ratowania tonących podczas boju i po nim za neutralne.

7) przejrzenie protokólu o prawach i zwyczajach wojennych, podpisanego w Brukselli d. 28 sierpnia 1874 r., z wyjątkiem Anglii i Turcyi i będącego do dziś dnia tylko projektem.

8) Uznanie za obowiązującą zasady, że w razach nieporozumień między mocarstwami, w celu uniknięcia starć zbrojnych

jest miejsce i na dobre usługi (*bons offices*) trzecich i na sąd rozjemczy, dobrowolnie uznany i wybrany: wskazanie sposobów, form i przepisanie jednostajnej praktyki.

Programat taki uspakajał już obawy o całość terrytoryalną i prawo utrzymania nadal podbojów nietkniętem pozostawiał; posuwał się nawet dalej: odkładał właściwie ograniczenie uzbrojeń na czas dalszy, stawiając jako ideał tylko utrzymanie *status quo nunc* bez nowych pomnożeń i nowego rozrostu potęg wojennych. I w takim programacie jednak nie wszystkim było dogodnie: rokowania trwały przez całą wiosnę, aż nareszcie poznali wszyscy że nic nie grozi, a zresztą, można nie podpisać, podpisawszy zaś, nie wykonać. Dwadzieścia pięć państw oprócz głównych pełnomocników poprzysyłało technicznych: uczonych profesorów i biegłych i urzędników ministeryalnych — ogółem około stu. Najmniejsze tylko państewka poprzestały na jednym przedstawicielu. Zgodzono się na Hagę, jako punkt neutralny, stolicę państwa, które nigdy już chyba wojny prowadzić nie będzie — chyba na Sumatrze, na archipelagu Sundzkim, z krajowcami: zgodzono się i na dzień 18 maja. Tego dnia w pałacyku królów holenderskich „Huys ten Bosch“ pod Hagą miejscowy minister spr. zagr., Beaufort, zagaił konferencye nadzieją, że uczestnicy ich będą mogli sobie powiedzieć: „Pokój wprowadzony do tej sali przez geniusz artysty (w malowidle symbolicznem) wyszedł z niej, aby rozlać swe dobrodziejstwa i dary na całą ludzkość.“ O wiele skromniej przemówił baron Staal, pełnomocnik Cesarsko-Rosyjski, ambasador w Londynie, wyznaczony na przewodniczącego naradom. D. 19 i 20 dokonano podziału na komisye: praw i zwyczajów wojennych, sądów rozjemczych i ograniczenia uzbrojeń. Nie chciano ich po imieniu nazywać, nie chcąc przesądzać skutków i samego kierunku ich działalności. Nazwano je: „pierwszą, drugą i trzecią.“ Do d. 23 b. m. ciało obradujące nie wydobyło się jeszcze z powijaków czynności przygotowawczych.

Tydzień polityczny. Propozycya zbudowania dla Chin drogi żelaznej od strony Mandżuryi zachodnio-południowej do Pekinu — głęboko dojęła Anglików. Takiego skutku nie miałaby propozycya sama przez się, gdyby nie usta, które ją uczyniły i widoczna gotowość do zamienienia jej w żądanie. Salisbury nadrabia miną i na bankiecie jakiejś kolejowej instytucyi dobroczynnej w Londynie szydzi z tych, którzy drżą o wielkość Anglii dlatego, że ktoś buduje jakieś koleje żelazne w Chinach. Pewną ulgę, przeważnie finansistom, sprawia bliskie już podpisanie z rządem chińskim umowy o budowę drogi przez obszary porzecza Hoang-ho od Tien-tsinu do Czy-kiangu, podjętą wspólnie z Niemcami na rozciągłości ok. 900 kilometrów, z odnogą niemiecką przez półwysep Szantung, na którym Niemcy za lat kilka poczną gospodarować jak u siebie.

Nowy gabinet włoski zaczyna od pomnażania wielkości ojczyzny: co Pelloux nr. 1 zaczął niezręcznie, to Pelloux nr. 2 wykonać chce energicznie. Chińczycy posłali ponad zatoki Sanmuńskie wojsko i odgrażają się, że nie wpuszczą. Liczą na Anglię; ale na nią właśnie liczą Włosi, przystępując do zaboru.

Anglicy transwalscy, z pomocą oficerów angielskich i wysłańców z Przylądka ukuli spisek na rząd rzeczypospolitej. Rząd wiedział o nim już od pewnego czasu, kazał spiskowych pilnować, a przed chwilą wybuchu w przeszłym tygodniu, nakazał uwięzienie mnóstwa czynnych patryotów Wielkiej Brytanii. Całymi wagonami przewożono ich do Pretoryi. Zatarg o prawa *witlanderów* napotyka w radzie wykonawczej Transwalu usposobienie do ustępstw: po dwóch latach już ma mieć cudzoziemiec, a więc i Anglik, obywatelstwo miejsze; rząd też transwalski zrzecze się monopolu dynamitowego. Dnia 30 maja, na zaproszenie prezydenta rzeczypospolitej Oranje zjedzie się Kruger z Milnerem, gubernatorem Przylądka w Bloemfontein.

Niemcy austryaccy wypracowali wspólny programat uprawnień narodowych niemieckich w Przedlitawii jako całości i w pojedyńczych prowincyach: dzielą kraje na płaty jedno-narodowe, z panującym wyłącznie narodowym językiem, a język urzędowy na wewnętrzny i zewnętrzny. W monarchii panować ma język niemiecki. Na Morawie dopuszczony będzie i czeski. Sząsk przeznaczony na zniemczenie, na które ma apetyt już i biskup wrocławski Kopp. Tyrolowi południowemu pozwalają Niemcy wyodrębnić się od północnego niemieckiego. Chciano wyodrębnić z Przedlitawii Galicyę.

Układy z Węgrami znowu podjęte w tym tygodniu w Wiedniu.

W stolicy Przedlitawii d. 21 b. m. odsłonięto pomnik arcyks. Albrechta. Zaproszony cesarz Wilhelm wyręczył się gen. Loe.

Paryż przebył w przeszłym tygodniu bezrobocie listonoszów.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

REFORMA USTAWY.

Za kilka tygodni rozpocznie się już sezon jednej z najstraszniejszych klęsk: pożarów w miasteczkach, wsiach i osadach. O tej pladze, rujnującej ekonomicznie setki tysięcy ludności i obarczającej nadmiernym ciężarem kraj cały, pisaliśmy już niejednokrotnie, jak również poruszaliśmy dość szczegółowo sprawy warunków bezpieczeństwa, reformy budownictwa, pomocy właściwie zorganizowanej, usuwania przyczyn klęski itd. Obecnie reforma ustawy straży ochotniczych wysuwa tę kwestyę znowu na porządek dzienny życia bieżącego. Jak jest doniosłe znaczenie tej reformy i jak ona wpłynie na ekonomiczne losy mas ludności, niech czytelnicy sądzą z wywodów i zestawienia dr. Jana Harusewicza, który nietylko wybornie się przyjrzał warunkom istnienia ochotniczych straży ogniowych, ale sam był rozumnym i dzielnym organizatorem tudzież kierownikiem jednej z nich (w Ostrowiu, gub. Łomżyńskiej). Do obszernych wyjaśnień w *Echach płockich i łomżyńskich* skłoniła dr. Har. ta okoliczność, iż przed kilku tygodniami rady dotychczasowych straży otrzymały egzemplarze ustawy normalnej i jednocześnie oznajmienie, że ustawa dawniejsza nie ma już mocy. (Wybory dokonano już podług nowej). Oto wywody dr. H.:

Zaszły poważne a nieprzewidziane trudności w ryczałtowem zastosowaniu nowych przepisów. Cele, prawa i obowiązki towarzystw pozostały mniej lub więcej te same: w składzie straży jednak do zanotowania są bardzo ważne różnice, gdyż dawna ustawa znała tylko dwie kategorye członków: honorowych (opłacających składkę) i czynnych, którzy nie obowiązani byli do składek. Normalna natomiast ustawa wyznacza cztery kategorye członków: 1) honorowi, wybierani za szczególne zasługi dożywotnie (§ 10); 2) rzeczywiści, którzy są czynnymi i jednocześnie opłacają składkę (§ 8), a więc odpowiadają dawnym

---

Z DZIAŁU: „MGŁY.“

NAD MORZEM.

Jerzy opowiadał:

Było to nad morzem, —

. . . . . . tam, gdzie modra fala,
Srebrzona pianą, z szumem się przewala,
Gdzie z piorunowych chmur wieńcem na czole
Bóg w bezgranicznym przemawia żywiole —
Groźny, jak pomsta, grzmiący, jak zagłada,
Lub sprzymierzywszy od końca do końca,
Pod promieniami wysokiego słońca,
Toń — jak marzenie najcichsze, układa
. . . .

Poznaniu naszemu nie towarzyszyły żadne wróżby, ni znaki szczególne. Spuściła oczy — i wnet je trwożnie podniosła z wyrazem dziecięcego zaufania i nieokreślonej rzewności. Po twarzy przepłynął uśmiech — lekki, jak mgły, smutny, jak jesień. Milczała.

Dowiedziałem się, że była mężatką od trzech miesięcy. Bawiła tu bez męża — z matką i siostrą. Nie mogłem sobie nigdy wyobrazić, jak wyglądał jej mąż. Ginął mi zawsze, jak postrzępiona plama — bez wyraźnego kształtu, jak dalekich gdzieś żywiołów potępieńczych mgła czarna, niszcząca...

Nie mówiliśmy nigdy o miłości. Nie dotknąłem nigdy jej ramienia. Nie obraziłem nigdy jedną myślą szaloną... Dusze nasze płynęły, jak sen, jak świetlano zapomnienie, daleko gdzieś od nas — po nad obszarem morza — w świt — w jasność — w słoneczne rozwidnienie... Tu zostawała jedynie jakaś tęskność ciał nieokreślona, lecz w tak doskonałem zespoleniu, żeśmy się czuli nad wyraz cisi, dalecy od życia i rzeczywistości, całą losów życia — i doli ziemskiej istotę pojmujący...

Uśmiech rzewny coraz częściej rozjaśniał jej smutną twarzyczkę, a oczy duże, pełne wyrazu, coraz częściej spoczywały na mnie, wszystką duszy w ciele zagadkę z ufnością bezgraniczną wynoszące...

Siadywaliśmy we czworo nad brzegiem morza — zdala od tłumów — w dzikiej ustroni — na skraju lasu sosnowego, sięgającego wielkich piasków nadbrzeżnych. Fala biła do stóp naszych — senna, omdlała. Przed nami toń gładka, lustrzana, wielka, jak wieczność, cicha, jak zamarzenie, szlakami połyskująca — dalekie hen niebo ku sobie przychylała. Biały żagiel, sto mil odległy, jak skrzydło ptaka, sennem jakiemś przypomnieniem na toni wiecznej migotał...

Snem było to morze — i ten żagiel — i ta cisza, nas opływająca — i zadumanie, które z nas ciszą jasną płynęło...

Raz, spoczywając tak w milczeniu u nóg jej, zanurzyłem mimowoli głębiej rękę w piasek nadbrzeżny — i spotkałem tam jej rękę — drobną, bezwładną. Około łem

czynnym i honorowym w jednej osobie, a także naczelnicy oddziałów; 3) ochotnicy, tj. czynni, bez jednoczesnego opłacania składki (§ 7) i 4) ofiarodawcy, tj. tylko opłacający składkę (dawniejsi honorowi członkowie — § 9). Otóż z prawa głosu na ogólnych zebraniach, a więc i na wyborach, według § 54 nowej ustawy, korzystają wyłącznie rzeczywiści członkowie, bo honorowi należą dopiero do przyszłości, gdyż ma ich wybierać ogólne zebranie i zatwierdzać gubernator. Ponieważ powszechnie dotychczas, jak to widać ze sprawozdań straży ogniowych w Królestwie, jedna część członków płaciła składki, a druga niosła tylko czynną pomoc, zasadniczy § 24 ustawy normalnej nie da się zastosować do istniejących towarzystw i one muszą być rozwiązane uprzednio, gdyż faktycznie nie może być ogólnego zebrania, co też zdarzyło się w Ostrowiu d. 19 marca r. b. podczas zarządzonych przez magistrat (wskutek zaznaczonego wyżej rozporządzenia) wyborów, niedoszłych do skutku, bo zaledwie 3 członków okazało się z pośród stu kilkudziesięciu (czynnych i honorowych podług dawnej ustawy) takich, którzyby według § 8 mieli prawo do tytułu członków rzeczywistych, t. j. jednocześnie byli i czynnymi i płacącymi składkę. Ponieważ żadne stowarzyszenie bez ustawy istnieć nie ma prawa, ponieważ dawna ustawa została uchylona, normalna zaś nie da się zastosować do składu dawnych straży, ze względów wyżej powiedzianych, należy uważać towarzystwa, pozostające w analogicznych wypadkach z ostrowską strażą ochotniczą, za rozwiązane, poczem można dopiero przystąpić do organizacyi na nowych zasadach: Pierwszym warunkiem powinno być określenie *minimum* liczby rzeczywistych członków (np. 40 lub 50 osób), mogących stanowić Towarzystwo i ogólne zebranie, przyczem należy zwrócić uwagę na § 20, który mówi o $^{1}/_{10}$ części rzeczywistych członków, a więc przewiduje i odpowiednią liczbę rzeczywistych. Inne wybitniejsze różnice streszczają się w następujących punktach. Podług ustawy normalnej każdy członek (§ 11) przy wstępowaniu powinien przedstawić „dokument o ilości lat“ (a więc metrykę urodzenia) i świadectwo policyjne prawomyślności politycznej, reszta po starenu. Uwaga do § 18 nakazuje prowadzić całą zewnętrzną i wewnętrzną korespondencyę, nie wyłączając protokółów i postanowień ogólnych zebrań, rachunkowości i sprawozdań wyłącznie w języku rosyjskim; tylko publikacya, zapomocą druku, sprawozdań może być dozwolona, z warunkiem równoległego drukowania tłomaczenia na język polski z tekstem rosyjskim. Również i ustne wnioski i rozprawy podczas ogólnego zebrania odbywać się muszą w języku rosyjskim, przyczem przewodniczący, którym jest prezydent lub burmistrz miasta, (§ 22) może pozwolić „członkom, nie władającym językiem rosyjskim, mówić na ogólnem zebraniu w języku miejscowym.“ Gubernatorowi pozostawiono prawo: rozwiązać towarzystwo, pozwalać na orkiestrę strażacką, dawać program balów, koncertów i zabaw strażackich, zatwierdzać rysunek na proporcu, zgadzać się na wybór członków honorowych; wyłączać z liczby członków Towarzystwa, kogo uzna za stosowne; zwoływać nadzwyczajne zebrania i ustalać ich porządek dzienny; zatwierdzać wybory prezesa i członków zarządu, jak również kandydatów, komisyę rewizyjną, naczelnika straży, pomocnika, naczelników oddziałowych i zarządzającego częścią gospodarczą; usuwać lub uwalniać wzmiankowane osoby; zatwierdzać postanowienia ogólnego zebrania o obdarzeniu prawem głosu ochotników i ofiarodawców w tej lub innej formie; zatwierdzać instrukcyę, formę odzieży, nabycie lub sprzedaż nieruchomości, znaki odróżniające oddziały. Według § 65 na ćwiczenia trzeba każdorazowego pozwolenia policmajstra lub naczelnika straży ziemskiej i tylko na wskazanych przez te osoby miejscach: § 73 przepisuje bezwarunkowe posłuszeństwo rozkazom naczelnika straży ziemskiej (w miastach gubernialnych policmajstra) podczas ognia ze strony naczelnika straży ochotniczej, jak również i wszystkich jej członków.

LISTY PETERSBURSKIE.

Reforma kary wygnania.—Rozruchy antisemickie.—Egzaminy.

Przesł. *Wiest.* ogłosił Najwyższy rozkaz, ażeby natychmiast rozpatrzono sprawę zniesienia lub ograniczenia kar wygnania, wymierzanych w drodze sądowej i administracyjnej. Jednocześnie w tym organie urzędowym ogłoszono motywy reformy, które tu podajemy, ze względu na doniosłość sprawy. Ustanowiona jeszcze w wieku XVII kara wysyłania przestępców na Syberyę, niegdyś była środkiem zaludnienia tych rozległych i bogato od natury uposażonych obszarów, wymagających dużo sił roboczych do budowy dróg, twierdz i uprawy gruntów państwowych. Z biegiem czasu w ścisły związek z wygnaniem weszły ciężkie roboty. Ale w miarę przybywania na Syberyę coraz większej liczby wolnych osiedleńców, którzy na uczciwej, ciężkiej pracy oparli swój byt, wysyłanie skazańców stało się nietylko niepożytecznem, lecz nawet szkodliwem dla kraju. Tymczasem wygnanie i ciężkie roboty zajęły na Syberyi pierwsze miejsce w organizacyi środków karnych państwa. Uciążliwość długiej podróży pieszej etapem, liczne ograniczenia na miejscu wygnania, tworzyły w sumie warunki bardzo ciężkiej i groźnej kary, trudność zaś powrotu do stron rodzinnych dawała rękojmię zupełnego usunięcia szkodliwych jednostek z różnych miejscowości Rosyi europejskiej. W miarę udoskonaleń komunikacyjnych systemu deportacyjnego tudzież kulturalnego rozwoju Syberyi, wygnanie powoli traciło swój charakter karny, ale jednocześnie szkody, wyrządzane Syberyi przez napływ przestępców, rosły z każdym rokiem. W obecnej postaci ów system karny przeważnie przyczynia się do zepsucia zarówno wygnańców, jak i ludności miejscowej; częste zaś ucieczki z miejsc osiedlenia wytwarzają szeregi włóczęgów, tj. ludzi niebezpiecznych dla ogółu. Również „katorga“ w znacznej mierze straciła charakter kary skutecznej, więc także wymaga gruntownego przekształcenia.

Te wszystkie względy wywołały właśnie rozkaz Najwyższy, którego mocą powstaje komisya pod przewodnictwem p. ministra sprawiedliwości, złożona z urzędników tego ministeryum oraz przedstawicieli podległych mu władz. Zadaniem jej będzie opracowanie następujących projektów: 1) O zamianie kary więzienia, wymierzanej przez sądy, na inne odpowiednie; 2) o zniesieniu albo ograniczeniu kary wygnania w drodze administracyjnej, tudzież wynikającej z wyroku urzędów miejskich albo włościańskich; 3) o przekształceniu ciężkich robót i osiedlenia; 4) o złagodzeniu losu wygnańców, przebywających obecnie na Syberyi; 5) o przekształceniu ustroju organów, zarządzających deportacyą i następnie klasyfikacyą wygnańców; 6) o organizacyi robót publicznych przymusowych i domów roboczych, z charakterem instytucyj zapobiegawczych i karnych; 7) o wyznaczeniu funduszów, potrzebnych do wykonania postanowień, które mają na celu

---

bezwiednie dłonią całą jej aksamitną powierzchnię... Po twarzy jej przebiegł dreszcz silny, bolesny... Wstrząsnęła się całą falą najczulszą, jakby z głębi duszy zapłakać była rada... Nie cofnęła jednak ręki — i tak siedząc trwaliśmy do późna.

Odtąd codziennie łączyliśmy dłonie pod wielką tonią piasków nadbrzeżnych, nie wspominając nigdy o tem. Przed nami morze płynęło, raz głośniej, to znów cichej pieszczocie z uśmiechem wtórzące... Oczy nasze coraz promienniej na morze patrzyły, a serca nasze coraz bardziej ku sobie się przechylały... Czasem przy tej podziemnej, dla oczu ludzkich niewidzialnej pieszczocie, taka słodycz senna serca nasze opływała, iż rozomdleni przymykaliśmy razem oczy, cali już z duszą i ciałem w przestwór srebrny płynący... Zresztą — rozmowa wszystkich nas czworga była cicha i zadumana, jasna i prosta, z uroczystych gdzieś źródeł płynąca, jak westchnienia duchów wiedzących składane...

Morze całkiem się zasłuchiwało — i fala nawet przestawała bić do stóp naszych...

Nazajutrz miałem odjechać. Żegnałem ją w dzień odjazdu — ze spuszczonemi oczyma, wielką tajemnicę w piersi tłumiący. Milczała, nizko głowę opuściwszy, całą siłą niepojętego losu tłoczona...

Pozostawało mi jeszcze parę godzin. Szalona tęsknota parła mnie raz jeszcze odwiedzić ustroń, gdzie cisza nasza zakwitła. Na kilka chwil przed odjazdem—w porze zwykłych naszych nad morzem zadumań — ukradkiem od strony lasu udałem się w to miejsce, snami poświęcone...

Oto już toń świetlana przez konary prześwieca, a oto i piaski nadbrzeżne...

Wtem — serce, silnie bijące, najboleśniej się ścisnęło. Przystanąłem ukryty za drzewem.

Na piasku — w tem samem miejscu, gdzieśmy razem siadywali, z głową zwieszoną bezwładnie, wsparta na ręce, jak zawsze, jak dla mnie, w piasek zanurzonej, siedziała — tym razem jedna, patrząca w morze, jak żała wielkiego zjawisko...

I tyle było smutku dziwnego, i tyle boleści, i tyle poddania rzewnego w całej jej cichej postaci, iż czułem, że z płaczem i łkaniem największem do nóg bym jej upadł, stopy drogie całując i na całą wieczność dla siebie uniosą...

Po chwili niepostrzeżony szybko-m się oddalał.

Morze cichym żalem szemrało...

Po drodze wciąż mi się zdawało, że widzę łzę drobną z oczu rozwartych, w morze patrzących, na ogrom piasków nadbrzeżnych powoli spadającą...

Potem często ją jeszcze widywałem w snach błogosławionych...

To był najpiękniejszy *romans* w mojem życiu samotnem.

Józef Jankowski.

zniesienie albo ograniczenie kary wygnania tudzież przekształcenie zakładów karnych.

P. ministrowi sprawiedliwości Najwyżej polecono, ażeby w miarę wypracowania przez komisyę projektów odpowiednich, niezwłocznie i bez uprzedniego porozumienia się z władzami czynił kroki, celem wyjednania Najwyższego postanowienia co do odsyłania ich bądź do rady państwa, bądź do komitetu ministrów, lub wreszcie komitetu kolei Syberyjskiej.

Tak ważny fakt w dziedzinie reform, który może zasadniczo wpłynąć na zmianę w pewnej mierze stosunków społecznych, wywołał w prasie rosyjskiej długie roztrząsania i wyjaśnienia. Między innemi godne są zaznaczenia niektóre uwagi *Birż. Wied.*: „W rozkazie Najwyższym powiedziano — pisze ten organ — że wygnanie na Syberyę powoli tracilo charakter kary. Istotnie, w pewnych wypadkach kara ta pozostawała w zupełnej sprzeczności z poczuciem prawa śród ogółu. Nie mówimy już o demoralizacyi samych przestępców i nieustannych ucieczkach, ale ta okoliczność, że zbrodniarze niektórzy mogli pędzić wygodne życie bez troski na miejscu wygnania, musiała wywołać niepożądane rozmyślania o sprawiedliwości. Wiele wykroczeń przeciwko cudzej własności pociąga za sobą wygnanie. A więc podlegają tej karze bankierzy, którzy zrujnowali setki i tysiące rodzin, różni urzędnicy, którzy skradli pieniądze w instytucyach publicznych, a więc także przyczynili się do zrujnowania wielu rodzin. Idą także na wygnanie złodzieje, okradający kasy skarbowe („kaznokrady“) — wszystko to ludzie przezorni. Schowawszy cały lub część skradzionego kapitału, urządzają sobie na miejscu wygnania niemal pierwszorzędny dom, pędzą życie szerokie, przyjmują u siebie nawet przedstawicieli władzy. Wszystko to oczywiście musiało wywołać pewne niezadowolenie, obrazić poczucie sprawiedliwości śród ogółu: tem bardziej, że jak powszechnie jest wiadomo, przestępcy ci są szkodliwi nie dla jednostek, lecz dla mas. Taki stan rzeczy musiał śród ogółu wyrobić przekonanie o potężnym wpływie pieniędzy...“

Pismo powyżej cytowane zaznacza jeszcze jedną bardzo ważną okoliczność: pozostawienie organom mieszczańskim i włościańskim prawa wysyłania drogą administracyjną przestępców. Miało to kiedyś swoje znaczenie historyczne, a przedewszystkiem wynikało z położenia człowieka, pozostającego w poddaństwie obywatela lub swego społeczeństwa. „Dziś czasy te przeszły, zapanowało prawo; kara zaś bez sądu jest niezgodna z wymaganiami i pojęciami życia dzisiejszego. Wszelka instytucya społeczna nie jest sądem, a jeżeli posiada pewne prawa dyscyplinarne, to jednak nie mogą one iść do tych granic, od których się zaczyna władza sądowa. Kara kryminalna może zależeć tylko od sądu; wszelkie zaś uchylenie się od tej reguły nie utrwali śród ogółu pojęcia o doniosłości prawa.“

Jeżeli reforma przedsięwzięta, przyjdzie do skutku w całej rozciągłości, stworzy ona istotnie nową bardzo ważną erę w dziedzinie penitencyarnej.

Peterb. Wiedomosti również zabrały głos w sprawie wygnania, zaznaczyły, że wzmaga się ono bardzo szybko oraz energicznie wystąpiły przeciwko zwolennikom tego systemu. Oto dowody, które ostatecznie potępiają dotychczasowy stan rzeczy. Według danych, ogłoszonych w *Tiurem. Wiest.* (r. 1898), przeciętny koszt przewiezienia jednego więźnia do miejsca wygnania wynosi 300 rb., a p. Łochwicki (w *Żurn. Jurid. Obszczest.*) oblicza, iż tylko skarb ponosi 800 rb. na jednego wygnańca. Po za tem płaci jeszcze gmina w naturze lub gotowiźnie (utrzymanie więzień i straży, dostarczanie podwód, koszty przewozu do więzienia, korespondencya itd.).

W r. 1898 główny naczelnik wydziału więziennego, p. Salomon, zwiedził wszystkie więzienia w Rosyi azyatyckiej i w taki sposób je scharakteryzował (*Sibirs. Żurnał*): „Więzienia i szpitale gorsze od najgorszych w Rosyi europejskiej.“ Zaznaczył przy tem, że połowa sumy *28 milionów* rb., wydanych przez skarb na Sachalin, użyto niewłaściwie.

Tiurem. Wiest. stanowczo zbija twierdzenie, że wygnanie oczyszcza metropolię z żywiołów szkodliwych. Właściwie jest to tylko przenoszenie tych żywiołów z jednej prowincyi do drugiej. Przy tem miejsca wygnańca nie są oddzielone żadnemi przeszkodami naturalnemi. W gub. Irkuckiej i Jenisejskiej zniknęło 73.4% wygnańców. Zaliczonych zaś do kategoryi *przepadłych* wykazano aż 60.5%. Wrócili oni do stron rodzinnych, albo też rozproszyli się po całem państwie.

Zasługuje na zaznaczenie kilka ogólnych uwag *Tiurem. Wiestnika*. „Wygnanie nigdy nie może być ustosunkowane do przestępstwa: dla jednych bowiem jest karą najcięższą, dla innych — sposobnością jeszcze do większego zniepranienia moralnego. Strach jest wogóle bardzo słabym czynnikiem moralności. Przed wygnaniem zależy on zupełnie od stanowiska, jakie przestępca zajmował w społeczeństwie. Na włościan — rolników i ludzi inteligentnych wygnanie oddziaływa bardzo ciężko, ale ludzi zdemoralizowanych do gruntu nie przeraża wcale. A więc jest ono karą lekką dla przestępców do gruntu zniepranionych; dla przywiązanych zaś do rodziny i ojczyzny — karą najokropniejszą. Ludzie ci zasługują najbardziej na pobłażanie.“

Prawda w drobnej wzmiance podała wiadomość o rozruchach antisemickich w Mikołajewie nad morzem Czarnem. Obecnie pisma rosyjskie zamieściły szczegółowe opisy tych zajść, wynikłych podczas Wielkiej nocy (star. st.). Oto, jak się rzeczy miały, według sprawozdania gazety chersońskiej *Jug*: Wyjątkowe straty poniosły ubogie rodziny żydowskie na „Piaskach,“ gdzie dopuszczono się strasznego zniszczenia: szkła i meble porozbijane, poduszki i pierzyny porozdzierane. W środku miasta tłum poprzestał tylko na wybijaniu szyb tudzież na zniszczeniu budek sodowych. Wszystkie oddziały wojska obecne w mieście, wezwano do uśmierzenia wichrzycieli. Lokale cyrkułów i więzienia zapełniono aresztowanymi. W ich liczbie znaleźli się także ludzie inteligentni, podejrzani o podburzanie tłumów. Z Chersonu przybyli: naczelnik gubernialnego zarządu żandarmeryi, prokurator sądu okręgowego chersońskiego i inspektor więzienny gubernialny. Według sprawozdania gazety *Rosya*, tłumy starannie wybierały domy żydowskie. Żyd Korsuński, właściciel ogromnego domu, przyjął wichrzycieli ukłonami, zaprosił do siebie i oświadczył, że oddaje wszystko co ma na przyjęcie i nadto 25 rubli, byleby nie niszczono domu. Tłum, złożony z 50 ludzi, spożył wszystko co było podane, wziął 25 rubli i poszedł, nie rozbiwszy ani jednej szyby. Po latach, o ile się nie mylimy 18, rozruchy antisemickie na kresach południowych wybuchły po raz pierwszy i, o ile sądzić możemy z opisów, nie wybuchły one tak gwałtownie i tak szeroko jak wtedy. Natomiast wszystkie charakterystyczne cechy i okoliczności były te same co i wtedy. Co do kary, można ją przewidzieć. Surowe zarządzenia, tak samo, jak i przed laty, wyślą głównych wichrzycieli drogą administracyjną na wygnanie, inni będą dyscyplinarnie ukarani. Co do faktów wichrzeń, mogą one dać ciekawy materyał dla socyologów i badaczów z zakresu psychologii mas.

Na dobie są dziś kwestye egzaminów. Nigdy jednak tyle co obecnie nie mówiono i nie pisano o szkodliwym ich wpływie na zdrowie młodzieży i o ujemnem znaczeniu wychowawczem. Z powodu zdań na szczególną uwagę zasługują rozumne poglądy p. Janowskiego, kuratora kaukazkiego okręgu naukowego: „Egzamin, jako środek promocyi do klasy wyższej, nie ma racyi bytu, ponieważ mylne jest mniemanie, że nauczyciel w ciągu 5, najwyżej 15 minut potrafi oznaczyć zasób wiadomości swych uczniów dokładniej, niż w ciągu całego roku z odpowiedzi ustnych lub piśmiennych. Jeżeli zaś są nauczyciele, którzy poprzestają na wypytywaniu się uczniów o oddzielne lekcye, nie wiążąc ich w całość z tem, czego się nauczyli poprzednio, to tacy są wprost szkodliwi. Dla dobrego zwierzchnika szkoły zaznajamianie się ze stanem jej w końcu roku jest zupełnie zbyteczne, ponieważ w każdym czasie może on wyrobić sobie dokładne o tem pojęcie. Zwierzchnik zaś obojętny, choćby nawet dowiedział się przy końcu roku szkolnego o brakach w wykładach, nie potrafi złemu zaradzić. Niema również podstawy wydawania patentów dojrzałości za krótkie odpowiedzi, chociażby wobec całej komisyi egzaminacyjnej. Wydawanie patentów tych powinno się odbywać na zasadzie oceny postępów, wyrażonej zarówno przez nauczycieli, jak i przez komisyę pod przewodnictwem zwierzchnika zakładu — na podstawie długoletnich spostrzeżeń nad uczniami.“

Warto, ażeby takie cenne uwagi nie utonęły w bieżącej fali wiadomości dziennikarskich.

Paweł Krzyżanowski.

Z GALICYI.

Kilka uwag o Macierzy.

Założyciele i kierownicy tej instytucyi mieli na celu oświecać lud, dając mu odrobinę nauki po za szkołą, a duszę jego uszlachetnić. Trudno było nawet podejmować inne zadania, większe i dalsze, tem bardziej, że do bliskich prowadziła ścieżka nieprzetrzebiona zupełnie.

Zanim przystąpię do zastanowienia się nad działaniem Macierzy, muszę zastrzedz, że będę mówił o instytucyi, nie zaś o ludziach.

List fundacyjny Macierzy wskazywał „szerzenie oświaty narodowej w tych warstwach społeczeństwa, w których jej potrzeba będzie najpilniejszą.“ Okazało się, i dziś jeszcze, niestety, okazuje się, że potrzeba „wieśniakom i mieszczanom dopomódz.“ Główną uwagę jednak zwrócono na lud wiejski, ażeby go nauczyć „pracować około dobra gminy i kraju naszego.“ „W książeczkach Macierzy — pisali założyciele — znajdziecie wiadomości o gospodarstwie, o roli i jej uprawie, o ziarnie i jego najlepszych gatunkach, o warzywie, sadach, o ogrodach, o chowie i leczeniu bydła i *o wszelkim przemyśle domowym*.“

Z początku zabrano się do pracy trochę po staremu. Panowało powszechne przekonanie, że lud należy *umoralniać*. Jakkolwiek nie był to pogląd słuszny, nie należy mu się dziwić. Na czele instytucyi stali sami herbowni, którzy moralność „chłopską“ pojmowali po szlachecku. Ale mniejsza o to. Zamiar umoralniania miał jeszcze dodatek: za pomocą religii. Idąc tą drogą, wydawano króciutkie żywoty świętych i drukowano książeczki na tle religijnem. Rozminięto się tutaj z zasadniczą podstawą swojej pracy, bo wysunięto przed siebie cel, który jest programem pracy katechetów i proboszczów. Kształcenie strony etycznej ludności wiejskiej jest najbliższem i prostem zadaniem duchowieństwa,

Macierz zatem wkroczyła na drogę nie swoją, traciła czas i pieniądze na przedsięwzięcia, niewchodzące bezpośrednio do jej programu. Miała uczyć, ale nie religii.

Oprócz wydawnictw książeczkowych, uznała za rzecz słuszną i w zasadzie pożyteczną wydawanie pisma ludowego. Założono więc tygodnik *Niedzielę*. Oczywiście pismo to miało objąć przedewszystkiem sferę interesów ludowych, w najszerszem znaczeniu tego wyrazu. Nasuwało się pytanie: jak uczyć i czego? Niewątpliwie, włościanin potrzebował i potrzebuje najwięcej wiadomości z tego zakresu, który stanowi rdzeń jego życia, tj. ekonomii i rolnictwa. Stąd bynajmniej nie wynika, ażeby inne wiadomości były zbyteczne, tylko że inne nie są równie ważne. Włościanin musi wiedzieć, jakie posiada prawa polityczne i autonomiczne; w jaki sposób, w jakim stopniu może i powinien z nich korzystać. Mogą istnieć i istnieją pisma, które przedewszystkiem taki cel przed sobą mają i do niego dążą. Macierz wysunęła na pierwszy plan naukę. A jednak cała jej działalność, przynajmniej teraźniejsza, nie jest zgodna ani z myślą założycieli, ani z najprostszem pojęciem, jakie do nauki potrzebnej ludowi, przywiązane bywa.

Już pierwsza redakcya *Niedzieli* od zasadniczego kierunku zboczyła i to dlatego, że nie było komu pracować. Co innego pisać artykuliki, złożone z plew codziennego życia, a co innego dawać materyał naukowy, przystosowany do pojęć prostaczka. W pierwszym wypadku byle kto wystarczy, w drugim potrzeba człowieka wykształconego i posiadającego zdolność udzielania w sposób przystępny wiadomości swoich ludziom nieposiadającym nawet elementarnego wykształcenia. Z tego zapewne powodu pierwsza redakcya *Niedzieli* ograniczyła się do informacyi o obowiązkach włościan i do umoralniania. Sprawy ekonomiczne i rolnicze zaledwie potrącono, a inne dziedziny nauki leżały zupełnie odłogiem.

Nie wiem, co się działo w łonie samej Macierzy i jej rady, jakie tam były prądy, wnioskuję z czynów, z wydawnictw.

Otóż, sądząc z tych ostatnich, kierunek religijno-naukowy trwał niezbyt długo. Trzeba było szukać innej drogi, gdyż *Niedzieli* nikt prawie nie prenumerował i gwałtem wciskano ją chłopom za pośrednictwem ambony i Rad powiatowych. Trzeba było wejść na inną drogę, praktyczną. Okres ten można nazwać najbardziej płodnym w całej działalności Macierzy. Od tej chwili rozpoczął się jej rozwój. Zawdzięczyć to należy tej okoliczności, że na czele jej stanął człowiek światły, rozumny i praktyczny, który rychło zoryentował się w położeniu. *Niedziela* poprawiła się trochę, o tyle, że szerzej zaczęła rozumieć swoje zadanie nauczania ludu. Otrząsała się powoli z tonu katechizmowego, uwzględniała potrzeby i interesy bieżące, doniosłość nauki, że tak powiem, bezpośredniej, i byłaby może zebrała dobre owoce, gdyby nie rewolucya pałacowa, która oddała pismo w ręce innej redakcyi, a Macierz powierzyła innemu kierownictwo.

Wychodziło we Lwowie małe pisemko p. t. *Gospodarz*, przeznaczone wyłącznie dla ludności wiejskiej, a obejmujące całą sferę ekonomicznych interesów włościańskich. Wydawano je dwa razy na miesiąc, a kosztowało tylko 60 centów rocznie. Rozwijało się powoli, bo go nikt nie reklamował; chodziło o to tylko, aby je wcisnąć pod strzechę wiejską. Macierz nabyła to pismo i wydawała osobno, łożąc na papier, druk i redakcyę około 500 złr. rocznie. W tym okresie swego istnienia wydała kilkanaście książeczek ogromnego dla wsi znaczenia, a wszystkie prawie były poświęcone rozmaitym gałęziom gospodarstwa wiejskiego włościańskiego i życia ludu. Wyszły wówczas: poradnik lekarski, weterynarya popularna, o budowie zagród, o uprawie różnych zbóż i traw itp. Słowem, cały plan, zarysowany pięknie, wróżył bogate żniwo. Kierunek wybrano najwłaściwszy, bo odpowiadał nietylko interesom materyalnym ludu, ale jego potrzebom. I tu nie można było liczyć na rychły skutek, na wzmożenie się gwałtowne prenumeraty, bo lud nasz bardzo ubogi i bardzo powoli przekonywa się o pożyteczności pisma lub książki. A czyż mogło być coś pożyteczniejszego, niż oświecanie ludności w tym właśnie kierunku, który zmierzał bezpośrednio do podniesienia jej dobrobytu, uczył kochać rzemiosło, budził zamiłowanie do lepszej uprawy roli i czyniąc rolnika zasobniejszym w wiedzę, przywiązywał go do ziemi korzyścią, jaką ona daje. O ile ten kierunek pracy Macierzy był pożytecznym i płodnym, świadczy to, że największa, najpożyteczniejsza i najważniejsza dla rolnika nauka — gospodarstwa wiejskiego, jest dla niego dotychczas niedostępną. Odezwały się krytyki tego kierunku trochę osobiste, trochę lekkomyślne, a ci, którzy dotychczas pracowali, zrzekli się przewodnictwa w myśl tej zasady: jeżeli nasza praca zła, róbcie lepiej.

Nastąpiła tedy znowu zmiana ludzi i kierunku. *Niedziela* przeszła w inne ręce, *Gospodarz* został zupełnie zwinięty, gdyż mało miał prenumeratorów. Jakkolwiek cała działalność Macierzy nie była obliczoną na zyski, przeciwnie posiadała na to pewien fundusz, aby odsetki od niego szły na stratę, byleby tylko ludność wiejska odniosła pożytek — stało się jednak. Jakimi względami kierowała się Macierz — nie wiem, widzę tylko z jej czynów, z jej wydawnictw, że zeszła zupełnie z drogi, wytkniętej jej przez założycieli i wymaganej przez najżywotniejsze i najważniejsze interesy ludności wiejskiej. Otóż nad tą działalnością zastanowię się chwilkę. Zacznę od *Niedzieli*. Zmieniła się ona radykalnie; zapomniała zupełnie o tem, że ma *uczyć* lud wiejski, a zajęła się propagandą polityczną, niekiedy społeczną i zamiast dawać ludowi zdrowe ziarno nauki, daje mu materyał połowiczny. Mogą istnieć pisma tego charakteru, ale nie godzi się z programem i celem *Niedzieli*. Nadto tu i owdzie przebija się adoracya osób zamiast krótkiego sprawozdania z ich czynności.

Dodać muszę, że teraźniejsza redakcya traktuje włościan trochę po brukowemu: zamiast rzeczy pożytecznych daje mu mnóstwo wiadomości luźnych i bez wartości. Nie powiem, ażeby one nie miały żadnego znaczenia, ale wartość ich trzeba mierzyć nie naszą skalą, lecz skalą rozumu i potrzeb włościanina. Teraźniejsza *Niedziela* stała się poprostu czemś podobnem do kuryerka ludowego, przepełnionego mnóstwem nowin w tej nadziei, że każdy pośród rupieci znajdzie coś dla siebie. Takie pismo, ciekawość, nie naukę mające na względzie, może byłoby dobre we Francyi lub Szwajcaryi, gdzie ludność wiejska znajdzie tysiące innych źródeł do czerpania wiadomości pożytecznych; ale tam, gdzie ma być tylko jedno źródło, niechże na dnie jego każdy wieśniak znajdzie dobre ziarno nauki, a nie pływające po wierzchu skrawki różnobarwnych papierków.

Przejdźmy teraz do wydawnictw. I na tem polu plan dawny został zaniechany dlatego, że kierownicy instytucyi nie znają ani ludu wiejskiego, ani jego interesów i potrzeb. Nie jest to żadna ujma charakteru i rozumu. Wypadek, jak fala, jednych zbliża, drugich oddala od ludu, a kto żyje zdaleka od niego, styka się z nim przypadkowo — nie może go znać. Myśli i projekty piękne i pożyteczne w jednej sferze społecznej, w drugiej tracą swą wartość. Macierz rozwinęła bardzo energiczną działalność wydawniczą, drukuje rzeczy piękne, a nawet niezaprzeczenie pożyteczne, ale rozmija się z celem. Robi ona tak, jak ktoś, który zamiast dojść do pewnego punktu na ziemi drogą najprostszą, pragnie dolecieć do niego balonem.

W ciągu ostatniego trzechlecia wypuściła ogromny tom różnych pieśni, przypowieści, opowiadań, zwyczajów ludowych (*Skarbiec strzechy naszej*): dwa wielkie tomy, przeszło 60 ark., encyklopedyi podręcznej; prócz tego pisma Adama Mickiewicza: „Konrada Wallenroda,“ „Grażynę,“ „Ballady i romanse,“ w jednym tomie i tomik o życiu i dziełach poety. Któż może zaprzeczyć pożyteczności tych książek? A jednak śmiem powiedzieć, że pieniądze wyłożone na wszystkie te wydawnictwa, z wyjątkiem biografii Mickiewicza, są zmarnowane. Dlaczego? Bo nie mają praktycznego celu przed sobą. *Skarbiec* może być bardzo pożyteczną książką dla etnografa, badającego lud, jego kulturę i życie — ale czem jest dla ludu? Niczem. Macierz za drogie pieniądze przynosi ludowi to, co on od wielu lat wszystkim rozdaje darmo i hojnie. Włościanin łapie się na tytuł takiej książki, ale jej nie czyta, a nawet nie lubi czytać, bo uważa, że „panowie“ śmieją się z niego, drukując takie prostackie rzeczy. Gdyby nawet tak nie było, to jaką korzyść odniesie lud z podobnej książki, którą od wieków sam powtarza na pamięć? Jest to przypatrywanie się samemu sobie w zwierciadle, nic więcej.

Encyklopedya jest pomysłem chybionym, chociaż nikt jej również użyteczności nie zaprzeczy. Jest ona zbiorem rozmaitych nauk i wiadomości, podzielonym na atomy. Ażeby z niej przeto korzystać, trzeba już pewnego, bodaj elementarnego przygotowania, trzeba rozbudzonej ciekawości umysłowej i oswojenia się z książką. Tego wszystkiego lud nasz nie posiada. Zasób jego słownikowy mały, zna on tylko wyrazy najprostsze, codzienne, o innych nie ma wyobrażenia. Do encyklopedyi więc nie będzie zaglądał, bo nie ma żadnego powodu. Wezmę przykład: Napotyka on wyraz *Lizbona* — szuka i znajduje: miasto stołeczne w Portugalii; Portugalia — państwo w Europie. Przeczyta wszystko i cóż? Będzie to zaspokojenie ciekawości, ale nie nauka geografii, bo o niej jak nie miał pojęcia, tak nie ma. Na encyklopedyi, jako książce podręcznej, zastępującej pamięć, można kończyć wiedzę, ale nie zaczynać. Gdyby to była krótka encyklopedya, nie wszech-rzeczy, ale gospodarstwa wiejskiego, wówczas powiedziałbym, że Macierz dokonała dzieła bardzo pięknego i bardzo pożytecznego. Zresztą, może się mylę.

Drukować ballady Mickiewicza dla ludu, jest to uczyć niewykształcone muzykalnie ucho sonatą Beethovena. Prosta melodya znajdzie oddźwięk w każdej duszy, ale sztucznie zharmonizowana prześliznie się bez wrażenia.

Nasuwa się pytanie: w jaki sposób zapada w radzie Macierzy uchwała wydawania takich książek? Odpowiem szczerze: nie głosami większości, lecz głosami grzeczności. Ktoś stawi wniosek, ktoś broni go, a więc przedstawia rzecz jednostronnie, nikt nie oponuje, bo albo nie ma odwagi swego zdania, albo nie wie, czy projekt jest dobry lub zły — i rzecz idzie do druku z dużym nakładem a małym pożytkiem.

Teraz mamy właśnie przed sobą sprawozdanie Macierzy z ostatniego roku, drukowane na pięknym welinowym papierze. Sprawozdawca jest tak zadowolony, że uważa rok ubiegły „za najpomyślniejszy dla wydawnictw Macierzy od czasu jej istnienia.“ Rzeczywiście więcej niż zwykle sprzedano Mickiewicza — z czego tylko cieszyć się można — dużo rozeszło się *Encyklopedyi*, ale sprawozdanie nie wymienia, kto kupował książki, ile i jaką drogą do ludu się dostały. Macierz będzie robiła najświetniejsze interesy wtenczas, kiedy nie będzie sprzedawała encyklopedyi ekonomom, pisarzom prowentowym, organistom i subjektom handlowym, ale przyjdzie z pomocą szarej, pracującej masie.

Jest w sprawozdaniu rubryka wydawnictwa *Niedzieli*, która rozchodzi się tylko w ilości 1,500 egzemplarzy i przynosi 2,000 zlr. brutto. Kosztuje zaś: redakcya i honorarya 1,840 złr., druk i papier 2,850 złr., ekspedycya, stempel i marki 2,185 złr., razem 5,875 złr., czyli rocznie blizko 4 tysiące złr. straty.

Postawmy sobie pytanie: Z jaką pomocą naukową przychodzimy pięciu milionom ludności wiejskiej? Jeżeli chłop trudni się uprawą roli — robi to nędznie i lichy osiąga zysk; jeżeli chowa bydło — to właściwie samo się ono chowa; gdy ma trochę więcej mleka — nie wie, co z niem zrobić; jeżeli ma warsztacik tkacki, nie wie, co i jak wyrabiać, tka więc liche płótna, tak samo, jak tkał przed tysiącem lat; gdy łoza wyrośnie podostatkiem, wyrabia z niej najpospolitszego gatunku koszyki lub krzywe meble. Wszędzie jest samoukiem, bezradnym, bezpomocnym. Teraz rozwija się szkolnictwo; za lat kilka, kilkanaście, dorośnie młode pokolenie, które trzeba oświecić. Zanim utworzą się szkoły fachowe, dajmy mu wskazówki w szeregu praktycznych wydawnictw.

„Szerzyć oświatę w tych warstwach, w których jej potrzeba okaże się najpilniejszą" — taką była wola założyciela Macierzy. Nie powinna ona zatem być polem popisów dla ambicyj i eksperymentów: droga jej jasno wytknięta, a pochwała niech przyjdzie nie od jej członków i dopiero po skończonej pracy.

F. C.

Z NIEMIEC.

Berlin, 17 maja.

Sprzeczności społeczne. — Zwrot ku sprawom społecznym w parlamencie. — Brzask reform.

Kurfürstendamm. Wiosenne popołudnie w niedzielę. Środkiem cudownej alei pod sklepieniami z liści mkną powozy przedstawicieli krwi błękitnej. Dostojni i postawni panowie i panie w galowej czerni pędzą cwałem, podziwiani przez stan trzeci i czwarty. Gwarzą o „martwym sezonie" tegorocznym w Montecarlo, o ćwierćmilionowym czoku, którym obdarzył pewien nabab swą utrzymankę, o typach kobiecych pani Ebner-Eschenbach itp. Po obu stronach bruku ciągnie się nieskończony szereg eleganckich powozów, wolantów i automotorów. Panie w zielonych bucikach, od stóp do głów obwieszone klejnotami i świecidełkami, panowie, gładko ufryzowani, z kwiatami na klapach czarnych surdutów, w szarych półkamaszkach, podziwiają siebie wzajemnie, zestawiają, witają i obgadują. Mówi się o niezatwierdzonym burmistrzu, o świeżo upieczonym konsulu perskim, o emancypacyi kobiecej, o najnowszych skandalach, o geszefcie, przyprawiając pogawędkę najnowszymi dowcipami i kalamburami. A tam pod płotem na trotuarze pełza czarne mrowisko ludzi o wyszarzałych cylindrach i melonikach, o wyblakłych staromodnych ubiorach i łatanych butach. Ludzie ci — *sordida plebs* — o nierównych plecach, wykrzywionych nogach, żylastych, czerwonych rękach, posuwają się naprzód pieszo, gawędząc o swych troskach codziennych, o drożyznie mięsa i mieszkań, raczące się wzajemnie od czasu do czasu wiadomościami o procesie Dreyfusa, wpływie ekonomicznych stosunków, konferencyi pokojowej itp. Pomiędzy tymi stanami i kastami uwija się międzyklasowa młodzież płci obojga, która podąża na tańce do Hellensee, skąd powróci, kiedy gospodarz, naglony przez policyę, zacznie gasić lampy. Splótłszy się konwulsyjnie ramionami, będzie szeptała w upojeniu pieszczotliwe wyrazy miłości i przysięgała sobie wzajemnie dozgonną wierność. A jako państwo w państwie, krzątą się pomiędzy ludźmi psie społeczeństwo z własną hierarchią i moralnością życiową. Proszę tylko spojrzeć na opasłego buldoga, który wygląda z jakiegoś powozu w kołderce z różową wstążeczką i elegancką obrożą z dzwoneczkami na szyi. Co za przepaść pomiędzy nim a pospolitym kosmatym pudlem kramikarza, drepczącym w nastroju melancholijnym za swym gospodarzem! Jeśli teraz obejmiemy jednym wzrokiem całe zbiorowisko ludzi, to łatwo dostrzedz, iż składa się ono nie z dwu światów, o których prawili niegdyś Kraszewski lub Beaconsfield, lecz z całego systemu planetarnego, gdzie każdy świat obraca się wokoło osi własnych interesów i zagadnień. Gdzież jednak to wiązadło, które łączyłoby wszystkie luźne ogniwa w jedno społeczeństwo? Gdzież ta myśl, która z oddzielnych dźwięków utworzyłaby jeden wielki, potężny, harmonijny akord wszechmiłości? Myśl ta w Niemczech rodzi się i rozwija. Wzrastająca popularność reform społecznych, o której wspominałem w poprzedniej korespondencyi, świadczy, iż kraj ten pierwszy podmósł kwestyę tę na seryo i usiłuje ją rozwiązać. Współczesne Niemcy, jak starożytny Janus, mają podwójne oblicze: jedno pochmurne, nasrożone, tchnące nienawiścią szowinizmu i reakcyi, a drugie promienne, rozmarzone z napisem na czole: „miłość społeczna". Obok Bismarcka, Stumma i hakatystów nowoczesne Niemcy wydały wielkiego marzyciela, filozofa Alb. Langego, szlachetnego pastora Göhrego, który w swej namiętnej miłości do maluczkich przypomina Shelleya i pułkownika Egidiego, którego pewna gmina berlińska ogłosiła za zmartwychwstałego Chrystusa. W sercach najbardziej zasklepionych obojętnością drga, chociażby z cicha, nuta miłości. Odkąd Wilhelm II oświadczył deputacyi handlowej: „Musimy się starać wpoić pracującemu ludowi przekonanie, iż cieszy się równoprawiem i że wszyscy je uznajemy" — w programie rządu i parlamentu kwestya społeczna nie schodzi z porządku dziennego. Dziesiątki pism i stowarzyszeń zaprzątają się temi sprawami. Instytucya dla polityki społecznej, dla reformy gruntowej, kwestyi mieszkań, biur wykazu pracy, dla dobra klas pracujących, dla urządzeń dobrobytu ludowego (Wohlfahrtseinrichtungen), dla zabaw i oświaty ludowej, stowarzyszenia etyczne, kursy ludowe, wolne sceny itd. — wszystko to są gałęzie rozłożystego, acz kolwiek młodego jeszcze drzewa, które cieniem swoim pokryje z czasem całe życie społeczne Niemiec. W zeszłym tygodniu spełnił się poważny zwrot w tej dziedzinie. Sejm rzeszy dużą większością głosów zażądał od ministrów, aby rozpoczęli na nowo pracę nad rozszerzeniem reform społecznych, przerwaną pod wpływem podszczuwań barona Stumma. Po raz pierwszy wszystkie stronnictwa, z wyjątkiem króla kopalnianego i jego Sancho-Panchy br. Kardorffa, oświadczyły się jednogłośnie za myślą, którą głosi od lat kilku gorliwie były minister handlu baron Berlepsz w wydawanem przez siebie piśmie „Praktyka społeczna." Co za dziwny polonez! Katolickie centrum prowadził protestancki narodowy liberalizm, antisemici oparli się kokieteryjnie na ramieniu liberałów, prawowierni zachowawcy szli ręka w rękę ze skrajną lewicą. Z wyjątkiem bar. Stumma i małej grupy lizaków, wszyscy uchwalili konieczność izb robotczych, państwowego biura pracy i rozszerzenia zakresu przemysłowych sądów rozjemczych. Jak nawet opiewa pewna wieść dziennikarska, rząd, dogadzając rozbudzonemu prądowi, wypracowywa projekt państwowej ustawy mieszkalnej. Jeśli znaki na niebie nie mylą, przeszłotygodniowe posiedzenia stworzą epokę w historyi społecznej Niemiec i stanowią zwrot ku nowym, poniekąd lepszym czasom.

Wobec tego, iż rozmaite grupy przemysłowe posiadają swe instytucye przedstawicielskie, jak: izby handlowe, rolne i rzemieślnicze, słuszność wymaga, aby i robotnicy mieli swą własną izbę, za której pomocą mogliby informować rząd o swych potrzebach, jednocześnie komunikując opinię we wszystkich sprawach, dotyczących przemysłu, jak to ma miejsce np. w Belgii i Holandyi. Urząd pracy służyłby za obserwatoryum ekonomicznego położenia pracobiorców. Podobnie jak państwowe biuro ubezpieczeń i hygieniczne trudnią się nagromadzaniem statystycznego materyału w zakresie ich kompetencyi, tak biuro pracy za przykładem angielskiej i trzydziestu amerykańskich podobnych instytucyj zbierałoby dane, które mogłyby służyć za podstawę faktyczną zawikłanych zagadnień teoretycznych, które nastręcza ta dziedzina. Sądy rozjemcze istnieją już od lat kilku, lecz funkcyonowały tylko w wypadkach wyjątkowych. Obecnie ich działalność zyskałaby wskutek obowiązkowości szerszą podstawę, uświęconą przez prawodawstwo. Jest to prawdziwa ironia historyi, iż te same projekty zostały już wniesione do sejmu rzeszy za czasów Bismarcka, kiedy odrzucono je przy salwach śmiechu, jako fantastyczne mrzonki. Dziś te same partye, które wówczas odegrały rolę grabarzy i karawaniarzy, wskrzesiły dawno pochowany projekt i narzucają mu się na wyścigi w roli mamek.

H. F.

LISTY Z PARYŻA.

Paryż, 18 maja.

Z izby posłów: budżet i sprawa nauczycieli ludowych. — Dwaj zmarli: Franciszek Sarcey, Henryk Becque.

Jedną z najbardziej palących spraw, jakie izba ma załatwić na najbliższych swych posiedzeniach, jest sprawa nauczycieli ludowych.

Ta armia krzewicieli oświaty, ludzi pracujących u podstaw i świadczących społeczeństwu tak duże usługi, nie cieszy się tu szczególnie dobrem położeniem. Lada urzędniczyna, którego cała zasługa polega na tem, że swą osobą zwiększa biurokracyę, doznaje większych względów rządu, niż nauczyciel ludowy, który daje przytem większą ilość pracy.

Dwa lata temu literat francuski, Maurycy Talmeyr, poruszył w *Revue des deux mondes* kwestyę losu nauczycielek. Okazało się, że w dziedzinie szkolnej panuje przepełnienie, że rząd wobec wydatków na uzbrojenia, prawie wstrzymał przyznawanie emerytur, że wskutek tego nauczyciele w podeszłym wieku i po wysłużeniu przepisanej ilości lat muszą zostawać na stanowiskach. Młodzi więc otrzymują posady „zastępcze" i w prawdziwej nędzy spędzają całe lata.

Dla przykładu opowiedział losy pewnej nauczycielki, która przez cały rok brała pięćdziesiąt franków miesięcznie, a potem nie posiadała się z radości, gdy znalazła miejsce sklepowej, wcale nie uciążliwsze, płatne zaś o wiele lepiej.

W początku zeszłego roku podniósł to samo zagadnienie zdolny publicysta, Henryk Bérenger. W rozprawie swojej o proletaryacie umysłowym (drukowanej w *Revue des Revues*) zaznaczył, że położenie nauczycieli ludowych jest smutne. W najlepszym razie dostają na początek 900 franków rocznie, a po sześciu lub siedmiu latach, gdy już założą rodzinę, dochodzą do 1200 franków. Nie dzieje się to zresztą ogólnie. Bywa tak, że, licząc już trzydzieści kilka lat, mają jeszcze w dalszym cią-

gu początkową płacę, zwiększoną tylko o mały dodatek pięćdziesięciu franków.

„Robotnik fabryczny, listonosz, są lepiej płatni. Urzędnik pocztowy albo najmniejszy gryzipiórek w jakiemś ministeryum są bogaczami przy naszych nauczycielach ludowych."

Gdy opinia publiczna poruszyła się, parę grubych ryb, między innymi Franciszek Sarcey i Ferdynand Buisson, jęło dowodzić, że zapatrywania na niedostatek materyalny nauczycieli są „czysto podmiotowe" i że nauczyciele nie żalą się wcale na swój los. Zdarzyła się wówczas rzecz dość niezwykła. Chociaż Buisson jest jednym z najbardziej wpływowych mężów w świecie szkolnym, nauczyciele ośmielili się zaprotestować. Bérenger otrzymał ze wszystkich zakątków Francyi setki listów od nauczycieli i nauczycielek z zachętami, aby bronił głośno tych, którzy mogą mówić tylko cicho."

Ruch udzielił się całej prasie pedagogicznej. Poczytne pismo, poświęcone nauce ludowej, „Nowa szkoła" *(L'ecole nouvelle)* przedsięwzięło za staraniem Devinata i Maurycego Kuhna rozległą ankietę o „proletaryacie nauczycielskim." Badanie to potwierdziło w zupełności wywody Talmeyra i Bérengera.

Nie możemy wchodzić w szczegóły. Nieodzownem jest jednak podanie ogólnego rysu. Nauczyciele i nauczycielki dzielą się we Francyi na pięć klas. Najniższa obejmuje początkujących. Pobierają oni, jak wspomnieliśmy, 900 franków rocznie. Mniej więcej po dziesięciu latach winni znaleźć się w klasie trzeciej z pensyą 1,500 franków. Za drugie dziesięć lat według przepisu, a w istocie za piętnaście lub dwadzieścia, dojdą do piątej czyli najwyższej o 2,400 frankach. Przy dzisiejszem przepełnieniu muszą czekać niekiedy i dłużej. W sześćdziesiątym roku życia nauczyciel może podać się do emerytury, musi jednak mieć dwadzieścia pięć lat służby. Ale od kilku lat państwo prawie nie udziela emerytur dla braku funduszów (a przecie odciąga na nią nauczycielowi przez cały czas służby pewną sumę). W innym artykule, ogłoszonym w *Volonte* z listopada zeszłego roku, Bérenger wykazał, że w 1896 państwo odmówiło emerytury trzem tysiącom nauczycieli! Skutkiem tego w 1897 i 1898 prawie nie było awansów w zawodzie szkolnym.

Dla usunięcia tak smutnego stanu rzeczy, deputowany Carnaud wystąpił podczas dyskusyi nad tegorocznym budżetem z nowymi dowodami w ręku. Zwrócił uwagę, że przy dzisiejszem przepełnieniu nauczyciel może dojść do pensyi 1,500 franków w pięćdziesiątym roku życia. Zażądał przeto udzielenia należnych emerytur, na co potrzeba około czterech milionów.

Chociaż rząd z góry oświadczył, że to zwiększenie jest niemożebne (!), wniosek omal nie przeszedł. Za nim było 225 głosów, przeciw 253.

Ale żądanie Carnauda nie pozostało bez następstw. W kilkanaście dni później minister oświaty, Leygues, zażądał miliona dwustu tysięcy franków na wypłatę pensyi wysłużonym. W uzasadnieniu przyznaje sam, że należy się ona 1,620 osobom od kilku lat i że znaczna część z pomiędzy nich, nie mogąc skutkiem starości uczyć, usunęła się i nie pobiera ani grosza.

Bardzo prawdopodobne uchwalenie tego wydatku nie rozwiąże ostatecznie sprawy niedoli bakalarskiej, ale w każdym razie będzie stanowić duży krok w danym kierunku. Można zaś powiedzieć śmiało, że zdobycz tę wywalczyła prasa.

Wspomniałem nieco wyżej o Sarcey'u. Dnia 16 maja zniknął on z rzędu żyjących. Nazwisko jego należy do powszechnie znanych, wartość literacka jednak pism tego krytyka i fejletonisty jest bardzo małą. Umysł ubogi, ciasny, nigdy nie zdobył się na coś szerszego lub podnioślejszego. Odpowiadał upodobaniom przeciętnego mieszczucha, nie wychodził za obręb myśli episyerskich i z tej przyczyny był raczej jednostką szkodliwą, niż pożyteczną. W znacznej części jemu należy przypisać zastój teatru francuskiego. Jako czciciel Wiktoryna Sardou i d'Ennerego i spółki, zwalczał zaciekle wszelkie dążności żywotniejsze autorów dramatycznych. Wpływ zaś posiadał ogromny, bo pisał w dziennikach, rozprzedawanych krociami tysięcy.

Ze szczegółów biograficznych wspomnę, że urodził się w r. 1828, że w 1848 skończył tak zwaną szkołę normalną, gdzie kolegował z Edmundem About i Hipolitem Tainem. Przez parę lat był nauczycielem gimnazyalnym, aż wreszcie przerzucił się zupełnie do dziennikarstwa. W r. 1859 wszedł jako krytyk dramatyczny do *Opinion nationale*, w 1867 przeniósł się w tejże roli do *Tempsa*. Przez trzydzieści dwa lata nie było prawie dnia, w którymby nie napisał artykułu. Przedziwna płodność, zwłaszcza wobec znamiennego ubóstwa umysłowego.

Na dwa dni przedtem zmarł mąż, który stał na biegunie przeciwnym, zarówno pod względem zdolności, jak dążeń. Był nim Henryk Becque.

Położył on wielkie zasługi (ledwie w ostatnich latach jako tako ocenione) około teatru francuskiego. Chciał uczynić go nie przedsiębiorstwem, ale przybytkiem sztuki, szablony i tłuste tematy zastąpić życiową prawdą i pogłębieniem duszy. Lecz we Francyi, gdzie do teatru idzie mieszczuch uśmiać się, przeprowadzenie podobnej reformy jest bardzo trudne. Dokonywa się ona obecnie, ale bardzo powoli: w każdym razie niewątpliwie dzięki zasłudze inicyatorów, jak Becque albo Edmund Goncourt.

Dramaty jego nie są arcydziełami, ale posiadają dużą wartość. Są tam świetne postacie, jest tęgi dyalog, z całości wyziera umysł i duch wybitnej jednostki pisarskiej. W r. 1871 wystawiony został pierwszy dramat Becque'a: „Uprowadzenie" *(L'enlevement)*, w parę lat później trochę melodramatyczny „Michał Pauper." Drażliwość tematu w „Czółenku (*La navette*, 1878), zwróciła uwagę na autora. Jednoaktówka owa należy zresztą do najlepszych jego utworów. Dobrą jest „Paryżanka," pełna ironii i sardonicznego śmiechu. Najwięcej powodzenia miały w ostatnich czasach „Kruki," historya rujnowania rodziny po zgonie jej kierownika.

Plejada Sarcey'ów tak wrogo przyjmowała utwory Becque'a, że tylko wrodzonej jego energii należy przypisać, iż przecie mimo to parę ich zostawił. Umarł w niedostatku, licząc lat 62.

B.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Zatarg w Tow. „Merkury."

Ma p. Magnus szczęście, czy też talent wywoływania zatargów w łonie towarzystw, do których należy i to zatargów jednakiej natury, w których zawsze chodzi o niedopuszczenie uprawnionej kontroli do ksiąg rachunkowych. Tak było i przez długi czas odbijało się nieprzyjemnem echem w prasie podczas jego uczestnictwa w kolei Wilanowskiej, tak jest obecnie w Towarzystwie spożywczem „Merkury." Naprzód w jednym z dzienników, a następnie na ogólnem zebraniu członków oskarżono zarząd o niedokładność w rachunkach, skutkiem czego upoważniono dwóch buchalterów do rewizyi ksiąg. Gdy wszakże ci chcieli zajrzeć do owych zmąconych źródeł, zarząd odmówił im, oświadczywszy gotowość udzielenia „objaśnień ustnych." Naturalnie delegaci nie zgodzili się na takie uproszczenie kontroli i ogłosili w pismach swój protest. Doprawdy trzeba przyznać, że czy opór stawiła zła wola, czy też samowola, jest ona w wysokim stopniu naiwną. Bo bez tego dziecięcego przymiotu nie mogła ona mniemać, że wyznaczeni rewidenci i ich mandataryusze zadowolą się „objaśnieniem ustnem," skoro zarzut dotyczył nieprawidłowości w księgach, oraz że o takie „non possumus" rozbije się atak ludzi zainteresowanych i mających zupełne prawo do wglądania w tajemnice *swego* przedsiębiorstwa. Członkowie naszych stowarzyszeń posiadają w wysokim stopniu cnotę pobłażliwości i potakującego kiwania głowami na działalność zarządów, ale chyba wobec tak wyraźnego lekceważenia ich żądań stracą cierpliwość.

Dla dzieci.

Bar. Lenwal, któremu dzieci robotników zawdzięczają już dom wychowawczy, zrobił dla nich nową a cenną ofiarę: darował 2,000 łokci placu przy ulicy Litewskiej i 75,000 rb. na budowę i urządzenie instytutu hygieny dla dzieci. Zapis ten ma zostawać pod opieką Towarzystwa hygienicznego na następujących warunkach. Ponieważ przeznaczony kapitał nie wystarczy na utrzymanie zakładu, więc Towarzystwo ma się postarać o zwiększenie tej sumy. Gdyby ono przestało istnieć lub gdyby instytut nie uzyskał osobnej ustawy, cała fundacya przechodzi pod zarząd osób, zawiadujących domem sierot po robotnikach imienia bar. Lenvala. Korzystać z niej mogą dzieci bezpłatnie, ale życzeniem ofiarodawcy jest, ażeby ona głównie służyła dzieciom ludzi mogących wnosić bodaj drobną opłatę. „W tej klasie bowiem najważniejszą jest rzeczą wszczepianie zasad hygieny i przyzwyczajanie dzieci do czystości, podczas gdy w najniższej warstwie proletaryatu usiłowania takie nie osiągną skutku." Uwaga ta, którą powtarzamy według brzmienia w *Kuryerze Codziennym*, wydaje nam się zbyt doktrynerską. W Warszawie, jak w każdem wielkiem mieście, jest bardzo dużo ludzi, którzy nie mają środków na zaspokojenie najkonieczniejszych potrzeb — na odzież, żywność, opłatę szkoły swych dzieci, którzy przeto tem bardziej nie będą się mogli zdobyć na umieszczenie ich w instytucie hygienicznym. Nie zapominajmy bowiem, że hygiena jest tylko ze stanowiska fizyologicznego niezbędnym warunkiem życia, ze stanowiska zaś społecznego jest zbytkiem, którego zastosowanie staje się możliwem dopiero w pewnym dostatku. Żądać od ubogiego człowieka, żeby płacił za wygody swego dziecka w zakładzie hygienicznym, kiedy on nie może go ciepło odziać i bodaj elementarnie wykształcić, jest to wywoływać na jego usta ironiczny uśmiech. Jeżeli zaś znajdą się tacy ojcowie, którzy będą w stanie ponosić koszty takiego zbytku, to z pewnością będą oni należeli do tej względnie zamożnej klasy, o której fundator nie myślał. Obawiamy się więc, ażeby przy obowiązku opłat nie zostali z instytucyi wyparci przez szczęśliwszych ci właśnie, dla których ona powstała.

Huczek dziennikarski.

Ważna — nadzwyczajna — niezwykła sprawa — temi nazwami okrzykiwali przez kilka dni sprawozdawcy i chłopcy sprzedający gazety na ulicach proces, wytoczony prof. J. Kosińskiemu i dr. Solmanowi o pozostawienie przy operacyi w zmarłej Kacowej dwu pensetek, które wywołały krwotok i śmierć. Mniej w tym procesie szło o ukaranie winnych, niż o wydobycie z nich okupu na rzecz spadkobierców za

popełnioną omyłkę. Trup, zamieniony w ten sposób przez opłakujących go na pieniądze, był niezmiernie przykrym upiorem widowiska. Nie lepszą była jego przyprawa karna. Znakomity chirurg, który tysiącom ludzi uratował życie, który w swej sztuce doszedł do mistrzostwa, zyskał rozległą sławę, musiał być przedmiotem urągań i zarzutów, niby jakiś znachor lub wiejski partoła, który chorym zaszywa w brzuchy swoje narzędzia. Ludziom nietylko obeznanym z przebiegami ciężkich operacyj, ale mogącym sobie łatwo wyobrazić, w jakiej gorączce i podnieceniu one się odbywają, nie trudno zrozumieć możliwości pomyłki lub przeoczenia, zwłaszcza przy jednoczesnem działaniu kilku osób. To też najsłynniejszym chirurgom zdarzało się zaszyć we wnętrzu chorych pensetę lub gąbkę. Nie przeczymy: wypadki takie są zawsze nieszczęściem i powinny być obwarowane najskrupulatniejszemi ostrożnościami. Dla tego, kto padł ich ofiarą lub stracił osobę drogą, nie jest to żadną pociechą, że statystyka podaje dość znaczną cyfrę podobnych niedopatrzeń i że one przytrafiały się nawet Wellsowi lub Braunowi: ale trzeba umieć odróżnić wyjątkową pomyłkę od wyraźnego niedbalstwa, a nadewszystko nie trzeba z pretensyi serca czynić pretensyi kieszeni. Gdy ktoś ubolewa, że stracił ukochaną istotę przez pomyłkę lekarską, współczujemy z nim: ale gdy żąda, żeby mu za to zapłacono kilkadziesiąt tysięcy rubli — niknie nam z przed oczu dramat i wylania się geszeft. Od lekarza mamy prawo wymagać: wiedzy, zdolności i sumienia: jeżeli to posiada, chociażby czasem błądził, nie możemy go oskarżać. On także jest tylko człowiekiem, dodajmy: człowiekiem zmuszonym rozwiązywać teoretycznie i praktycznie najtrudniejsze zagadki — życia. Zwłaszcza zaś chirurg, który prawie zawsze, otwierając ciało człowieka, otwiera tajemnicę, ma tyle usprawiedliwienia w spotkanych niespodziankach i grożących niebezpieczeństwach, że można go podziwiać, gdy coś przeoczy — rzadko.

Europejczyk krakowski.

Czas krakowski, stary grzesznik i niepoprawny bezwstydnik, posiada ciągle u tutejszej prasy przywilej powagi i znaczenia. Dziennik szczupłej kliki, bez moralnej wartości i szerszego wpływu, uważany jest przez swoich warszawskich czcicieli za organ, z którym opinia publiczna liczyć się powinna. Więc nieraz oni jego głos ważą, mierzą, oceniają, jak gdyby pod jego siłą drżały mury Jerycha i jak gdyby to nie był ryk bożego stworzenia, na którem wielcy ludzie jeżdżą, ale do którego od nich nic nie przesiąka. Niedawno *Czas* zamieścił korespondencyę, w której dowodzi, że śmietanka inteligencyi warszawskiej nie jest europejską, w przeciwieństwie do krakowskiej, która stanowi najwyższy przysmak kultury zachodniej. Nasi artyści, literaci, dziennikarze itd. są prowincyonalistami, podczas gdy „Ateny podwawelskie" zaćmiewają Paryż. Ruskin powiada: „Kot patrzy na biskupa; dobrze, lecz czy on widzi biskupa?" Podobnie ów mąż z *Czasu*: patrzy na Europejczyka, lecz czy widzi Europejczyka?" Zdaje nam się, że on jest bardzo blizko spokrewniony z owym marzynem, który zapytany, czy mu się podoba piękna żona podróżnika, odrzekł: „Byłaby nieszpetna, gdyby jej wybić przednie zęby i pomalować twarz czerwoną gliną." Więc gdyby Warszawie wybić zęby i pomalować ją gliną krakowską, z pewnością w oczach współpracownika *Czasu* wyglądałaby po europejsku.

BADANIA NAUKOWE.

BIOLOGIA A NAUKI SPOŁECZNE.

Od Augusta Comte'a — powiada prof. Gumplowicz w wydanych świeżo „Szkicach socyologicznych" *) — pochodzi myśl, że społeczeństwem rządzą te sama prawa, co całą naturą; ona to stworzyła naukę socyologii. Rozwijają ją i przekształcają coraz głębiej wszyscy następni badacze. W Ameryce głosił o „jedności prawa" w świecie fizycznym i społecznym Carey, w Niemczech Haeckel nazwał myśl tę monizmem, a cała rzesza uczonych stara się niestrudzenie prawo to, wiążące dwa światy: natury i ducha, określić ostatecznie. Jedni biorą pod uwagę dziedzinę przyrody, pokrewną społecznemu i duchowemu życiu człowieka, i udowadniają, że ono jest z „życiem duszy" zwierząt związane tem samem prawem. Czyni to Wundt i Büchner w wielu swych popularnych pracach. Nie podług ich metody, lecz w podobnym kierunku pracował Schaeffle, wyprowadzając całe życie społeczne z tych samych praw, które rządzą życiem człowieka i zwierząt. Inaczej postępuje Spencer: wznosi on się do sfery jeszcze ogólniejszej i wszystkie zjawiska przyrody, tak ożywionej, jak i martwej, podporządkowywa jednolitemu prawu rozwoju. Jest jeszcze trzeci sposób badania: przez wyosabnianie poszczególnych objawów ze świata moralnego i wykazywanie, że ich rozwój jest wypływem procesów i stanów fizycznych.

Na tej drodze znajduje się cała psychologia fizyologiczna. Starając się udowodnić, że wszystkie zjawiska psychiczne w człowieku można sprowadzić do procesów fizyologicznych wewnątrz jego organizmu, przyczynia się ona znakomicie do ugruntowania „jedności prawa." Nauka ta zajmuje się atoli tylko człowiekiem, jako osobnikiem; strony jego społecznej nie dotyka. Czynią to natomiast ci, którzy starają się do funkcyj fizyologicznych sprowadzić zjawiska psychiczno-społeczne, tj. objawiające się w jednostce tylko w jej stosunku do społeczeństwa, np. prawo. Stąd fizyolog wiedeński, Stricker, próbował początek idei prawa, przynajmniej częściowo, wyprowadzić z procesów fizyologicznych. Idea ta — powiada on — rozwija się w człowieku z dwojakiego szeregu doświadczeń. Jeden wynika z dowolnych ruchów: stosunek bowiem woli do mięśni jest pierwszem źródłem świadomości siły, z której wypływa idea tej ostatniej, a nareszcie idea prawa. „Do naszej świadomości siły musiało jednak przybyć jeszcze jedno doświadczenie, aby wywołać ideę prawa. Polega ono na poznaniu, że także inni ludzie posiadają siłę i są w stanie przejawy naszej siły hamować. I tak tworzą idee o sile własnej i cudzej pierwiastki idei prawa." Jedność więc prawa, łączącego świat moralny z fizycznym, stwierdzona.

Filozofowie prawa i socyolodzy idą jeszcze dalej: podobieństwa między życiem społecznem a organizmem doprowadzają do krańcowości. Włoch Mantia dowodzi (w dziele: *La psicogenesi del diritto*) doskonale, że społeczeństwo, tj. wszelkie życie zrzeszone, jest objawem biologicznym: w powstawaniu swem i rozwoju okazuje ono, że objęte niem indywidua nie posiadają świadomości celu. Zdarzają się w niem bezwarunkowo z biegiem czasu czynności, posiadające tę świadomość, lecz pierwotne powstawanie grup społecznych są poprostu wytworami natury między ludźmi, jak tworzenie się trzód między zwierzętami. Tak samo jest zwykłym wytworem natury prawo, jako ruch świadomości jednostki w celach samozachowawczych wobec innych jednostek; tak samo powstaje jako potrzeba organiczna, jako konieczność biologiczna, moralność, wyobrażenia religijne. Głównym motorem rozwoju jest walka o byt.

Jakże dalecy jesteśmy od dawnych wierzeń teologicznych, dalej od teoryi „ugody społecznej," która panowała przy końcu zeszłego wieku, lub od teoryi „harmonij społecznych," którą głoszono w pierwszej połowie stulecia bieżącego! Z księgi natury, biologii, czerpiemy naukę, która rozwiewa wszystkie dawniejsze złudzenia, ukazuje nam społeczeństwo i przyrodę, sprzągnięte jedną zasadą, jednem prawem, ślepem, bezwzględnem a według wymienionych socyologów: mechanicznem.

Lecz ta sama biologia otwiera też inne widnokręgi. Traktuje o nich w ostatniej swej mowie znakomity profesor i dyrektor instytutu anatomiczno-biologicznego w Berlinie, Oskar Hertwig *).

Nie jest to przesadą mistrza, zakochanego w swym zawodzie, gdy on stawia biologię, jako ognisko wszystkich współczesnych umiejętności, z którego rozchodzą się dokoła światła i przedmioty naukowe specyalne. Promienie jego rozświetlają szczególnie trzy kierunki badań: fizykalny, chemiczny i społeczny.

Każdy organizm składa się z wielu związków chemicznych, należy przeto, jako przedmiot badania, do kierunku chemiczno-biologicznego, który z niepewnych cegiełek dawniejszych rozwinął się i uzyskał silne podstawy, dzięki geniuszowi Lavoisiera i Liebiga. Chemia lekarska, sztuczne tworzenie ciał, bakteryologia, mikrochemia — oto zdobycze pierwszej gałęzi biologii.

Kierunek fizyologiczny biologii przenika z miarą i wagą istotę procesów życiowych i rozmaitych rodzajów energij: mechanicznej, chemicznej, cieplnej, elektrycznej. Hertwig nie zgadza się z Du Bois-Reymondem, który przewidywał, że fizyologia przestanie z czasem istnieć, jako odrębna nauka, i rozpłynie się w organicznej fizyce i chemii; wraz z Machem nazywa te poglądy „mitologią mechanistyczną w przeciwstawieniu do animistycznych religij starych." Człowiek bowiem nie jest maszyną, organizm żywy jest nietylko skupieniem materyj chemicznych i sił fizykalnych, lecz po za tem także odrębną organizacyą, posiada budowę właściwą, odróżniającą go znakomicie od świata nieorganicznego, czyniącą jego jednego—istotą ożywioną. Chemia właściwie zagadnieniem życia się nie zajmuje, gdyż ono zaczyna się tam, gdzie jej badania się kończą. Ponad budową chemicznych drobin wznosi się budowa substancyi żywej, jako dalszy, wyższy rodzaj organizacyi, mniej więcej w taki sposób, w jaki ponad budową ciała zwierzęcego wznosi się stopniowo ostatni, najwyższy szczebel ustroju: społeczne zrzeszenie ludzi w państwo. Mimo to znaczenia badań biologicznych w tym kierunku nikt nie zechce obniżyć; dość wskazać wspaniałe zdobycze embryologii oraz nauki o komórce i tkance. Zdobycze te jeszcze w pierwszych swych stadyach oślepiały umysły: wszakże przed 50 laty wierzono, że odkrycie komórki zastępuje pomost między naturą żywą a martwą! Niejeden marzył o stworzeniu komórki w sposób sztuczny, jak chemik drogą syntezy prostych elementów wytwarza pewne materye! Dziś nauka stała się skromniejszą. Komórka okazała się czemś więcej, niż prostym kryształkiem organicznym: zawie-

*) *Soziologische Essays.* Innsbruk, u Wagnera.

*) *Die Lehre vom Organismus und ihre Beziehung zur Sozialwissenschaft.* Jena, u Fischera.

ra ona w sobie świat ultramikroskopijny, będący dzisiaj dla nas tak samo lub więcej zamkniętym, niż był nim dla biologa z przed 500 lat, przed odkryciem szkieł powiększających.

Przypuśćmy — wywodzi Hertwig dalej — że oko nasze, uzbrojone w miliony razy większą siłę widzenia, zdoła kiedyś wejrzeć w mikrokosmos komórki, to jeszcze nie będziemy mieli mechanicznego wyjaśnienia elementarnej maszyny życiowej. Jeszcze trzeba będzie poznać, z jakiemi siłami poszczególne cząsteczki tej całości komórki-maszyny na siebie działają. Rozwiązanie tego pytania wydaje się niemożliwem. Trzeba przytem uwzględnić, że ile milionów różnorodnych rodzajów roślin i zwierząt zaludnia ziemię, tyle musi istnieć odmian komórek zarodkowych, a wszystkie posiadają w swej organizacyi pewne różnice, inaczej nie rozwijałyby się z nich zupełnie odmienne typy! Trudności nastręczają się tutaj nieobliczone...

Tyle Hertwig — specyalista, który widzi doskonale istniejące granice swego państwa i ostrzega przed zbyt ryzykownem wychylaniem się po za ich obręb. Mimo to sam to czyni i śmiałym skokiem przenosi się do kierunku społecznego biologii.

Po Schaeffleu, Spencerze itd. nie wypowiada tutaj nic nowego. Słyszymy więc, że wielka rewolucya techniczna, którą wiek nasz przebył na polu produkcyi i komunikacyi, sprowadziła i sprowadzić musiała nowe ukształtowanie się poszczególnych organów społecznych. Wywiązał się stąd szereg objawów, które wydają się niebezpieczeństwem dla dobra i przyszłości państwa. Biolog, umiejący czytać w księdze przyrody, znajduje jednak radę; widzi ją na podstawie porównania z procesami rozwojowymi ustrojów. Im więcej w szeregu gatunków jest zorganizowany i zróżniczkowany pewien rodzaj, tem więcej w ciele jego przedstawicieli część zależna jest od życia całości. Niższe zwierzęta można pociąć na kawałki i każdy będzie osobno żył — u wyższych jest to niemożliwe. Procesowi różniczkowania się ciała na rozmaite funkcyonujące części towarzyszy drugi ważny proces: proces integracyi, podporządkowanie się części pod panowanie całości.

Tak samo — woła Hertwig — ma się rzecz z rozwojem państwa. Im bardziej w różniczkującem i komplikującem się współczesnem życiu gospodarczem i kulturnem jednostka zostaje zredukowaną do pełnienia cząstkowej jakiejś pracy, tem więcej staje się ona zależną od całości. Całość powinna się za to poczuwać wobec niej do moralnych obowiązków, do zadań sprawiedliwej polityki socyalnej...

H. P.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

Kuwada. — Parę przykładów. — Próby wyjaśnienia. — Oznaka przejścia od prawa macierzystego do ojcowskiego. — Nowe wyjaśnienie Ling Rotha i Karola Féré. — Kuwada, może wytwór „sympatyi małżeńskiej," tj. stanu nerwowego osób, nie zaś [illegible] warunków społecznych.

Są w życiu ludów pierwotnych zwyczaje, cieszące się bardzo znaczną uwagą ze strony uczonych, nawet większą, niż na to zasługują. „Kuwada" niezaprzeczenie należy do ich liczby. Dla czytelnika, nieobeznanego z tym wyrazem, powiemy, że zwyczaj ów polega na tem, iż podczas rozwiązania żony mąż udaje chorego i kładzie się do łóżka, powstrzymując się od spożywania pewnych pokarmów i od spełniania wielu czynności, bo mniema, iż przełamanie tych zakazów pociągnęłoby za sobą jak najgorsze skutki dla nowonarodzonego niemowlęcia.

Parę przykładów najlepiej nam uprzytomni ten z pozoru tak niedorzeczny zwyczaj, rozpowszechniony przecież bardzo szeroko w różnych punktach globu.

„U Abiponów (Ameryka południowa) - pisze Dobritzhoeffer — jak tylko kobieta została matką, ojciec natychmiast kładzie się do łóżka i każe siebie otaczać troskliwością; podczas pewnego okresu pości. Możnaby mniemać, że to on podlegał rozwiązaniu. Czytałem o tem niegdyś i śmiałem się z tego, nie mogąc uwierzyć w podobną niedorzeczność i mniemając, iż o tym osobliwym zwyczaju opowiadano raczej jako o żarcie, ale wreszcie ujrzałem go na własne oczy.

„Obyczaj ten zaś pielęgnują tem staranniej, ponieważ wyobrażają sobie, iż odpoczynek i posty ojca stanowią bardzo wiele o zdrowiu dziecka i są niezbędnie potrzebne i dla niego samego i dla niemowlęcia. Są przekonani, że wobec związku sympatycznego, istniejącego pomiędzy dzieckiem a ojcem, wszelka dolegliwość, która dotknie rodzica, musi być bardzo szkodliwą dla jego potomka: w przypadku śmierci dziecka, kobiety zrzucają odpowiedzialność na niepowściągliwego ojca i obarczają go możliwie upokarzającymi zarzutami."

Jakeśmy zaznaczyli, kuwada istnieje w wielu punktach globu. Wogóle jest to zwyczaj nawet bardzo rozpowszechniony, o którym pozostawili nam wiadomość i dawni pisarze świata klasycznego, i obecni podróżnicy. „Zaledwie dziecko po urodzeniu zostanie obmyte i położone w niewielkiem łóżeczku z bawełny — pisze du Tertre o Karaibach — a już kobiety pracują, jak gdyby nic się niewydarzyło. Natomiast niemoc żony jak gdyby przeszła na męża, bo zaczyna on się skarżyć. Wszyscy krzątają się około jego uspokojenia: pospiesznie ścielą mu łóżko na zewnątrz chaty, składają mu wizyty jako choremu, stosują do niego dyetę w jedzeniu. Kiedy przejdzie czterdzieści dni postu, zapraszają rodziców i najlepszych przyjaciół, którzy przybywszy, tną skórę nieszczęśliwego zębami pewnego zwierzęcia i puszczają krew ze wszystkich części ciała, tak iż będąc dotychczas chorym przez swoją wyobraźnię, obecnie jest rzeczywiście niezdrowym."

Kuwadę próbowano wyjaśnić w rozmaity sposób. Większość badaczy widziała w tym obyczaju symbol, za pomocą którego ojciec nabywa praw do własnego dziecka. Dla umysłu pierwotnego tylko związek matki z dzieckiem jest widoczny i zrozumiały: matka zawsze jest pewną, bo sam akt fizyologiczny porodu wyraźnie każdego powiadamia o tem. Nic natomiast nie wskazuje zależności wzajemnej dziecka od ojca. Dopóki istniało prawo macierzyste i pochodzenie liczono w linii żeńskiej, kazuistyka prawna plemienia nie dopytywała się o dowody łączności ojca z dzieckiem: potomstwo z samego położenia rzeczy należało do rodu swojej rodzicielki, a związek zostawał stwierdzony w sposób bardzo jawny i przekonywający. Inaczej stosunki stanęły, kiedy pochodzenie zaczęto wyprowadzać w linii męskiej i dziecko wchodziło w skład rodu ojcowskiego. Trzeba było, dla usankcyonowania łączności pomiędzy ojcem a dzieckiem, stworzyć jakiś symbol, któryby nadawał rodzicowi prawa, posiadane przez matkę w okresie wcześniejszym. Wprowadzono kuwadę. Ojciec niejako naśladował rozwiązanie żony i zachowywał wszelkie ostrożności, nakazywane przez hygienę plemienną. Kuwada byłaby więc oznaką przejścia od wyprowadzania pochodzenia w linii żeńskiej do rodowodu w linii męskiej lub pozostałością po takiej epoce.

Takiem jest pospolite tłomaczenie zwyczaju, powszechnie przyjęte. Większość socyologów przytacza je jako dowód uprzedniego istnienia u danego ludu okresu prawa macierzystego. Ale w ostatnich czasach pojawiły się nowe próby wyjaśnienia początków opisywanego przez nas obyczaju. Jedna pochodzi od Ling Roth'a, etnografa angielskiego, twórcą drugiej jest znany psycholog francuski, Karol Féré.

Co do Ling Roth'a, zwalczywszy za pomocą tablic statystyczno-etnograficznych pogląd, iż ludy macierzyńskie nie znają kuwady, która pojawia się dopiero w epoce przejściowej do patryarchatu, usiłuje on wykazać, że źródło owego zwyczaju tkwi w filozofii, właściwej umysłowi pierwotnemu. Człowiek. znajdujący się na niższym szczeblu rozwoju, przypuszcza, iż istnieje pewien tajemniczy związek pomiędzy czynnościami ojca i dziecka: mniema on, iż jak kobieta, która podczas stanu odmiennego zje zrośnięte owoce, wyda na świat bliźniaków, podobnież i czyny ojca w ten lub inny sposób muszą odbić się na zdrowiu niemowlęcia. Jeśli rodzic będzie coś rąbał, ciało nowonarodzonego będzie w odpowiedni sposób narażone na szwank; jeśli zegnie drzewo w pałąk, nóżki niemowlęcia przybiorą takie pałąkowate kształty. Wobec więc tego musi powstrzymywać się prawie od wszelkich zajęć, bo niemal każde wywrze taki lub inny wpływ na organizm maleństwa. Nie pozostaje przeto mu nic innego, tylko samemu położyć się do łóżka, bo wtedy rodzina będzie posiadała najzupełniejszą rękojmię jego należytego zachowania się. Ling Roth odrzuca więc tłomaczenie, uważające kuwadę za przeżytek okresu przejściowego, prowadzącego od macierzyństwa do prawa ojcowskiego, i przyjmuje, iż istnieć może ona również podczas jednej i drugiej fazy, będąc związana z pojmowaniem wpływów pomiędzy ojcem a dzieckiem. Byłaby płodem filozofii ówczesnej, której zarodki byłyby właściwe wszystkim ludom, ale którego zupełny rozwój zdarzałby się względnie rzadziej, tylko u niektórych szczepów.

W końcu badacz angielski wspomina między innymi o pewnych objawach, na których K. Féré oparł wyłącznie swoją teoryę wyjaśnienia rodowodów kuwady. Są to fakty ze sfery nerwowo-patologicznej, zjawiska tak zwanej „sympatyi małżeńskiej," które, chociaż rzadkie, istnieją przecież i co do natury swojej dają najdoskonalsze oparcie dla wytłomaczenia zwyczajów, związanych z kuwadą. „Sympatya" ta polega na wspólności cierpień, ujawniającej się w tem, iż mąż odczuwa stan swojej żony i wraz z nią przebywa różne dolegliwości, nieodłączne od stanu odmiennego i od okresu rozwiązania. Prześladują go mdłości, miewa bóle w nogach. Wieśniacy i wogóle lud w wielu punktach Anglii i Stanów Zjednoczonych uważają tego rodzaju cierpienia „sympatyczne" męża za nieodłączną przynależność głębszego przywiązania. Świadectwo o takich wierzeniach przechował Bacon, przytaczając objawy słabości mężowskiej, jako najlepszy dowód miłości, który chociaż zbyteczny i niepotrzebny, przecież pochlebia on małżonce, a jeśli ta odznacza się charakterem zgryźliwym i niezdolnym do poświęceń, pociesza ją myśl, że nie sama cierpi. Weir Mitchell, jeden z wybitnych lekarzy chorób nerwowych, na swoich wykładach poświęca godzinę przypadłościom małżeńskim, wywołanym przez współczucie dla dolegliwości, trapiących małżonę. Opowiada on o pewnym mężu, którego mdłości zaczęły napastować jednocześnie z nastaniem pierwszych oznak stanu odmiennego u żony. Ponieważ miał już o nich niejakie pojęcie z czasów dawniejszych — była to już z rzędu trzecia ciąża — zwrócił się przeto o pomoc do doktora, który polecił mu wyjechać w podróż. Poskutkowało to, „współczucie" przestało działać z odległości. W tym razie można mniemać, iż wpływała wyobraźnia w związku z pobudką na-

śladowniczą; wiadomo bowiem, iż sama myśl o czemś jest zdolną wywołać odpowiednie dolegliwości u osoby, obdarzonej zbyt bujną imaginacyą. W takim przypadku istniejące „współczucie" sprowadza się do działania wyobraźni i nie może bynajmniej służyć za dowód szczególnie silnego przywiązania, lecz jako świadectwo pewnej pobudliwości chorobliwej. Ale neurologista angielski przytacza jeszcze dalsze fakty, niepoddające się tak łatwo objaśnieniu. W pewnym przypadku np. mdłości u męża zaczęły się na sześć tygodni, zanim po raz pierwszy pojawiły się u żony, tj. jeszcze w tym okresie czasu, kiedy ta ostatnia nie podejrzywała swego przyszłego macierzyństwa. Féré przypuszcza, że działało tutaj mocne przeświadczenie męża o zajściu żony w ciążę i wystarczało, ażeby wywołać u niego wszelkie odpowiednie objawy. Ze swoich osobistych spostrzeżeń badacz francuski przytacza podobne zdarzenie, dotyczące pewnego neurastenika, tj. człowieka, cierpiącego na chorobę, sprzyjającą wszelkim najdziwaczniejszym stanom. K. Féré miał możność obserwować osobę tę w ciągu przynajmniej dziesięciu lat i utworzyć sobie o niej dokładne pojęcie. Wielokrotnie zamierzał się żenić, lecz zawsze w ostatniej chwili brały go różne skrupuły i wątpliwości i skłaniały do porzucenia zamiarów. Wreszcie wstąpił w związki małżeńskie w warunkach bardzo dodatnich; w ciągu pierwszych osiemnastu miesięcy czuł się najlepiej, kiedy nastąpiły mdłości, napastujące go po ocknięciu się oraz po obiedzie, zwłaszcza pierwsze nigdy go nie mijały. Po raz pierwszy wystąpiły one nazajutrz po zawiadomieniu go przez żonę, że zaczęła odczuwać pewne dolegliwości. Co więcej, małżonka cierpiała względnie w daleko słabszym stopniu, tymczasem gdy mąż w ciągu trzech tygodni ani razu nie znajdował wypoczynku. Lekarz rozkazał mu wyjechać, co poskutkowało. Ale nie dość tego. Kiedy zbliżyła się godzina rozwiązania, wystąpiły w nim objawy, jeden nieprzyjemniejszy od drugiego. Doznał takiego osłabienia w nogach, iż w ciągu paru dni nie mógł chodzić; bóle głowy nie opuszczały go ani na minutę, bezsenność niemal zupełna trapiła go, ostre bóle przechodziły po ciele. Trzeba go było wysłać do rodziny, gdzie przyszedł do siebie, gdy dowiedział się o rozwiązaniu żony. Zresztą na dobre wyzdrowiał zaledwie po miesiącu.

Tak wyglądały fakty, na które powołuje się Féré dla wytłomaczenia kuwady. Jego zdaniem, byłaby ona nie objawem natury społecznej, świadczącym o przejściu wywodu pokrewieństwa w linii macierzystej do prawa ojcowskiego, ale stanem nerwowym. Powstaje przecież pewna wątpliwość, mianowicie ta, że wskazane przypadki są względnie bardzo rzadkie w Europie. Czy taka rzadkość mogła stworzyć zwyczaj, tak rozpowszechniony i u pewnych ludów tak ogólny, iż niema od niego żadnych uchyleń? Należałoby wtedy przypuścić, iż może właściwości natury ludzkiej, takie, jak wyobraźnia i pobudka naśladownicza, są żywsze u człowieka pierwotnego, niż w okresie cywilizacyi. Jest to możliwe, a nawet niewątpliwe: rozwój umysłowości raczej zmniejsza te dwa wymienione przymioty ducha. Ale nastręcza się jeszcze inne pytanie: jakim sposobem objaśnić większą częstość kuwady w pewnej fazie rozwoju społecznego i zwyczajów małżeńskich, rzadszą zaś w innych? Czy trzeba byłoby przypuścić, iż przywiązanie małżeńskie nie zawsze, tj. nie w każdym układzie stosunków społeczno-rodzinnych, bywa jednakie? I to również jest możliwe. W każdym razie nie rozstrzygamy tej kwestyi. Poprzestajemy na podaniu wiadomości o nowej próbie wytłomaczenia zwyczaju kuwady, nic nadto.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Marya Turzyma: *Nadbrzeżne fale.* Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa, księgarnia S. Sadowskiego, 1899, str. 180. — Wacław Gąsiorowski: *Pamiętniki Nowonarodzonego,* studyum fantastyczne z ilustracyami Br. Wiśniewskiego. Warszawa, 1899, str. 170.

Quinze jours sans parler, quelle joie!— woła Guy de Maupassant w swym zbiorze subtelnych wrażeń i myśli głębokich, tworzącym bardzo zajmującą całość p. t. *Sur l'eau.* I cieszy się, jak dziecko, z tego „upojenia samotnością," ogarniającego jego duszę, ze słodkiego upojenia odpoczynkiem, którego mu nie zakłócą: ani list biały, ani niebieska depesza, ani odwiedziny natrętne, ani nawet szczekanie psa.

Odsunięcie się w pewnych chwilach od gwaru życia, od jego walk i trosk codziennych, wytworzenie sobie atmosfery ciszy i spokoju, wolnej od zabójczych dla wszelkiej twórczości duchowej miazmatów otaczającego świata, atmosfery czystej i szlachetnej, w której kryształowej przejrzystości wyżyny i głębie życia mogą się odbijać najlepiej, stanowi upragniony, a — niestety — nieosiągany najczęściej cel dążeń większości ludzi, pracujących mózgiem i sercem, większości współczesnych poetów, artystów i myślicieli.

Niektórzy z nich, ci zwłaszcza, których bezlitosne tryby wielkiej maszyny życia wciągnęły między swe zęby miażdżące, wpłotły w swój ruch i wir nieprzerwany, wytwarzają sobie czasem sztuczną atmosferę odosobnienia, uciekając w swych utworach od przytłaczającego rozgwaru nędz i ucisk, dążeń i rozczarowań powszednich — w ponętniejsze dla nich dziedziny idealnych porywów duchowych, przenośni czy symbolu, lub nawet czystej abstrakcyi. Nie jest to zresztą najczęściej zupełne zerwanie z rzeczywistością, lecz tylko mniej bezpośrednie jej odczuwanie, zamykanie oczu na pewne jej objawy lub może patrzenie na nie z pewnego oddalenia, niekiedy z pewnej wyżyny.

Nie umiemy powiedzieć, w jakich warunkach pisała swe utwory p. Marya Turzyma, nieznana dotąd prawie autorka, która wystąpiła świeżo ze zbiorem nowel, obrazków i poezyi prozą, wybiegających zaletami swemi ponad poziom przeciętności. To pewna w każdym razie, że szara pospolitość życiowa nie zadawala jej, że wzrok jej dalej sięga, a duch tęskni do lepszych światów. Autorka nie jest nowelistką w zwykłem tego słowa znaczeniu, lecz raczej poetką, dającą w nierymowanej formie prawdziwe utwory natchnienia. Treść utworów tych obraca się nieraz około stosunków realnych, lecz w pojedynczych wypadkach rzeczywistość najczęściej o tyle tylko obchodzi autorkę, o ile służy za punkt wyjścia do wycieczki w sferę własnych jej uczuć i myśli, w sferę ukochanych przez nią światów idealnych, lub o ile da się z niej wyprowadzić jakiś wniosek ogólnej natury.

Weźmy przykład. Oto w kończącym książkę urywku: „Nadbrzeżne fale," od którego tomik cały otrzymał tytuł, autorka kreśli w żywych barwach bolesny obraz pogoni ciemnego, rozbestwionego tłumu, w jakiemś włoskiem mieście portowem, za człowiekiem, który życie poświęcił dla idei i, jak nowy „wróg ludu" Ibsena, marzył jedynie o szczęściu tych, którzy w tej chwili, dla marnej nagrody pieniężnej, gotowi są krew jego przelać i członki poszarpać na miejscu. Obraz sam przez się wstrząsający, skreślony z plastyką i siłą, lecz autorka nie poprzestaje na nim. Nie chodziło jej zresztą o samo tylko wzruszenie czytelnika pojedynczym smutnym wypadkiem, ani nawet o wstrząśnienie jego nerwów elektrycznym prądem pełnego goryczy kontrastu. Pragnie jeszcze wlać w jego serce pewną otuchę i wypowiedzieć przytem myśl ogólniejszą, sformułowaną poetycznie w następującej przenośni:

„Żywo fale uderzają wciąż, bez wytchnienia, o twardą tarczę skał nadbrzeżnych. Niektóre łamią się i z rozbitej piersi tryskają milionem iskier w powietrze. Inne, odepchnięte po sto razy przez ląd, powracają. Odtrącone z szyderstwem i wzgardą, rzucają się coraz namiętniej na martwe opoki.

Ziemia drży od ich uderzeń— miejscami pęka — rozpada się i zsuwa się w głębinę, a ponad nią zwycięzkie fale ze zdwojonym szumem prowadzą dalej swoją robotę.

Chwilami cichną, jakby znużone i zniechęcone, ale wnet dreszcz jakiś, od głębin idący, wstrząsa niemi na nowo i zapał ich podnieca.

A nieśmiertelny duch przyrody krzepi je i zachęca do wytrwania:

„Dalej, dalej — praca wasza nie idzie na marne. Wszak wy zwolna, nieznacznie, zmienicie kształt ziemi."

W innym urywku („Mia Maria") rozmowa dwojga zakochanych, podczas wycieczki łódką na morze, w cudowny dzień wiosenny, kiedy „słońce milionami iskier zapalało powierzchnię wód, a góry płonęły bogactwem barw błyskotliwych, oślepiających," daje znów autorce sposobność do wypowiedzenia przez usta wyprowadzonych postaci swych własnych przeczuć i wątpliwości, własnych tęsknot, marzeń i nadziei.

„Nie wiem, kiedy i nie wiem, gdzie, ale wiem, że kiedyś, gdzieś, musimy zbadać zagadkę bytu. Gdyby tu był cel nasz ostatni, powinno nam być dobrze, przynajmniej niektórym, a nie jest dobrze nikomu. Nie jest dobrze nawet nam, choć tak się kochamy. Możemy dać sobie wszystko, czego serce, ciało i dusza zapragnie. Nie możemy jednak dać jednego ukojenia tęsknoty za czemś, czego ani określić, ani nazwać, ani wyobrazić sobie nie możemy."

I dalej w tym samym tonie płynie rozmowa. „Mała buntownica," na której cześć łódka otrzymać miała nazwę „Mia Maria," maluje wewnętrzne walki wyzwalającej się ziemi, jej stosunek miłosny do słońca, przeprowadza fantastyczne porównania i analogie, a my słuchamy z zajęciem tej dziwnej rozmowy, dajemy się unieść autorce nad poziomy trosk i goryczy codziennych i płyniemy z nią razem na bystrej fali marzenia w jakiś świat tajemniczy, daleki...

P. Turzyma nie zawsze wypowiada równie wyraźnie, jak w „Nadbrzeżnych falach," myśl zasadniczą utworu. Przejrzystość idei przewodniej zamąca się nieco w dwóch „bajkach" („O skrzydlatej duszy" i „Do słońca") przez zbytnie nagromadzenie niezupełnie zrozumiałych symbolów i przenośni. W innych utworach za to autorka pozostaje bliżej ziemi i bądź z siłą i szczerością odtwarza żal po śmierci ukochanej istoty („Dzień zaduszny"), wskazując, jako środek na ukojenie bólu osobistego, gorące umiłowanie opuszczonych i cierpiących, bądź też próbuje analizy duszy ludzkiej ze stron innych, zaznaczając np. trafnie zasadniczą różnicę między rzeczywistą i fałszywą miłością („To nie była miłość").

Do najbardziej wzruszających ustępów jej zbiorku zaliczylibyśmy owe właśnie akcenta szczerego bólu i tęsknoty, których pełno we wspomnianym przed chwilą „Dniu zadusznym":

„Czemu odeszłaś ode mnie, pociecho moja, pieszczoto, dziecino; czemu odeszłaś, towarzyszko i siło moja?.. Przecież widzisz, jak cierpię, jak tęsknię, jak się łamię w sobie. Odeszłaś ode mnie w pełnym rozkwicie młodości, miłości, szczęścia. Moją byłaś, jak tchnienie mej piersi, jak uderzenie mego serca, jak myśl mojej głowy, a przecież zabrała mi cię moc jakaś, nawet od miłości naszej potężniejsza... A ja—ja, co żyłem twoim widokiem, co oddychałem twoją miłością, co utopiłem całą duszę w tobie — nie oszalałem, nie roztrzaskałem głowy o mur, nie umarłem z rozpaczy. Dlaczego tak się stało?..“

Jeden tylko utwór autorki „Nadbrzeżnych fal,“ zawierający banalne dosyć opowiadanie o losach młodej nowelistki, która zdołała się wybić i złożyć dowody talentu, mimo że o pierwszych jej pracach jakaś powaga krytyczna napisała krótko: „Szkoda czasu i atłasu,“ nie bardzo licuje z zajmującą i oryginalną treścią całego zbioru i nie przyczynia się niczem do podniesienia jego wartości.

Jeżeli p. Marya Turzyma jest naturą nawskróś poetyczną, lubi unosić z sobą czytelnika „po nad proch ziemski,“ w sfery ideału i patrzeć na stosunki codzienne „pod kątem wieczności,“ to p. Wacław Gąsiorowski, autor sztuki p. t. „Szare życie,“ wyróżnionej przed kilku laty na jednym z konkursów dramatycznych i granej kilka razy na scenie Rozmaitości, potrafi, przeciwnie, nawet do utworu fantastycznego przyczepić balast rad i wskazówek praktycznych i nadać mu charakter zręcznego dosyć, lecz nieco za długiego fejletonu o szkodliwych lub śmiesznych stronach współczesnego wychowania niemowląt.

Takie właśnie wrażenie wywiera wydane niedawno „studyum fantastyczne“ tego autora p. t. „Pamiętniki nowonarodzonego.“ Ma ono odtwarzać siódme wcielenie ziemskie ducha ludzkiego, będące jednym z krótkich etapów na jego drodze do doskonałości moralnej. Napróżno jednak szukalibyśmy tu czegoś w rodzaju wędrówek międzyplanetarnych Flammariona, nie mówiąc już o wspaniałych obrazach „Króla Ducha.“ Świat to zupełnie obcy dla p. Gąsiorowskiego, który natomiast nie ustrzegł utworu swego od pewnych trywialności, w rodzaju choćby owych „wątróbek, cynaderek, zrazów zawijanych z kaszą,“ w przeciwstawieniu do bawarki (str. 46), które w fejletonie nawet wywierałyby wrażenie niesmaczne, a cóż dopiero w „studyum fantastycznem...“

Ale bo też studyum to jest w trzech czwartych częściach utworem dziennikarza raczej, a nie beletrysty, i dopiero kończący je obrazek naiwnej miłości dziecka, jego serdecznej tęsknoty za przedwcześnie zmarłą matką, jego wreszcie choroby i śmierci, pozwala nam dostrzedz w organizacyi duchowej autora „Pamiętników“ głębszy podkład uczuciowy, połączony ze zdolnościami nowelistycznemi.

Uczuciowość p. G. występuje zresztą i w innych ustępach książki, wszędzie, gdzie ma on sposobność mówić o stosunku matki do dziecka, poruszającym stale najtkliwsze struny jego serca:

„Półcień w pokoju. Ręce matczyne zawisły chwilowo na krawędzi mego łóżeczka, wzrok jej pomknął gdzieś w dal, ku promiennej przyszłości. Ja, zasłuchany w melodyjne tony kołysanki, usypiam zwolna. Wtem na czoło moje pada łza. Otwieram oczy — i oto już jestem w objęciach matki. „Granicami twego świata Moich ramion dwoje!..“ O, łzo święta! Padłaś w serce! Taką tylko rosą odżywiana roślinka wybujać może i wznieść się po nad zwykły poziom ludzkich uczuć, porywów i celów. Bo łza taka to płomień, w którym wszystkie topnieją kruszcze, to rylec, który zarówno kamień żłobi, jak i znamię niezatarte wyciska w najbardziej jałowem

A nieco niżej autor wyraża żal gorący, że człowiek wśród walk życiowych nie może zachować pamięci niemowlęctwa, że sobie uprzytomnić nie może ani jednego uścisku matki, ani jednej łzy, która na jego ciało spływała. We wspomnieniu tem p. G. widzi niewyczerpane źródło, z którego w każdej potrzebie możnaby czerpać otuchę i krzepić wiarę w przyszłość: gotów jest nawet pogodzić się z „opłakanym i zgrzytającym“ padołem ziemskim, skoro na jego niwie miłość macierzyńska zakwita...

Te właśnie ustępy, będące prawdziwą ozdobą „Pamiętników nowonarodzonego,“ świadczą niewątpliwie, że i na dnie duszy ich autora spoczywają drobne iskierki poezyi, które od czasu do czasu tchnienie szczerego uczucia rozżarza i rozdmuchuje.

Władysław Bukowiński.

W DALI.

Mińsk. Korespondent *Gazety Polskiej* podał ciekawe szczegóły, dotyczące pomocy lekarskiej w całej gubernii Mińskiej. Na 2,191,104 mieszkańców posiadała ona ogółem 260 lekarzy, z których 67 mieszkało w Mińsku, 87 w innych miastach, a tylko 106 na wsi. Przeciętnie więc na 8,427 mieszkańców przypada jeden lekarz. Stosunek ten jeszcze więcej rażąco się przedstawi, jeśli uwzględnimy wieś oddzielnie. Tam po kilkanaście tysięcy osób przypada na jednego lekarza. Liczba felczerów również nie jest wystarczającą. W całej gubernii jest ich 439, czyli jeden przypada na 4,987 mieszkańców. Szpitalów tylko 48, a z tych zaledwie 16 jest tak zwanych gminnych. Ilość ogólna łóżek w tych wszystkich szpitalach wynosi 1,259. To też szpitale są przepełnione i dostęp do nich jest połączony z wielu trudnościami. Kwestya zwiększenia tych zakładów w miastach była już parę razy na porządku dziennym, ale dotąd nic się jeszcze nie zrobiono. W roku bieżącym magistrat m. Mińska pragnął urządzić ambulatoryum, gdzieby biedacy mogli mieć bezpłatną poradę lekarską. Projekt ten jednak upadł z braku poparcia ze strony samych lekarzy, którzy odmówili swej pomocy, tłomacząc się tem, że u siebie w domu nie odmawiają przecie bezpłatnej porady biedakom. Natomiast postanowiono, aby jeden z lekarzy dyżurował kolejno w nocy w gmachu „Dumy“ dla udzielania pomocy w nagłych wypadkach. Ale i co do tego zobowiązania zgodziło się zaledwie 12 lekarzy, a przecież Mińsk liczy ich obecnie przeszło 70. — Członkowie Towarzystwa rolniczego założyli w Mińsku spółkę, która nosi nazwę „Korzyść“ i ma na celu pośrednictwo w nabywaniu i sprzedaży przeróżnych produktów rolniczych, a również maszyn, narzędzi itp. „Dla syndykatu istniejącego przy Tow. rolniczem — zaznacza korespondent — jest to konkurencya niezbyt pożądana. Dziwić się tylko należy, iż do tej konkurencyi stanęli nie ludzie inni, lecz członkowie Tow. rolniczego, którzy tym sposobem idą wbrew interesom instytucyi.“

— W dalszym ciągu nadesłano na konkurs poetycki *Prawdy* następujące utwory:

16) Cztery pory roku na wsi.
17) Sen tatrzański.
18) Fantazya.
19) Przed ślubem.
20) Walka ducha.
21) Obłąkany.
22) Marzyciel i świat.
23) Gustaw.
24) Łabędzia pieśń.
25) Kazimierz Łyszczyński.
26) Reformator.
27) Z Gehenny.
28) Sen Szlązaka.
29) Żałoba.
30) Litwania.
31) Pan Tadeusz i Zosia.
32) . . . . .

KRONIKA.

Dla głodnych. W kościołach katolickich księża odczytali list pasterski arcybiskupa warszawskiego, nawołujący do składek na głodnych, skutkiem nieurodzaju, włościan rosyjskich w gub. Orenburskiej, Samarskiej, Kazańskiej i innych.

Wiadomości społeczne. Komitet wydziału dochodów niestałych Kasy literackiej urządził w piątek „wieczór literacki,“ który powtórzony będzie w poniedziałek.

- Zatwierdzono ustawę Towarzystwa opieki nad domami zarobkowymi w Łomży.

— Lekarze petersburscy zawiązują Towarzystwo ochrony praw swoich, celem uregulowania stosunku do pacyentów i utworzenia sądu honorowego.

Rozporządzenia. Kilku recydywistów, urządzających bójki na noże w Warszawie, postanowiono, na mocy decyzyi ministra, wysłać do gubernij: Archangielskiej, Wołogodzkiej, Kostromskiej i Mohylowskiej.

Prasa. W Petersburgu zawieszono na trzy miesiące dziennik *Ruskoje bogatstwo* z powodu szkodliwego kierunku i tendencyjnego tłomaczenia ustawy, określającej prawa zwierzchnicze władzy Najwyższej w Finlandyi.

— Generał-gubernator finlandzki zamknął wydawnictwo pięciu gazet miejscowych.

Szkoły. Do ministeryów oświaty i skarbu gubernator grodzieński, jak pisze *Siew. zap. słowo*, wniósł projekt opodatkowania wszystkich gruntów w gubernii na rzecz szkół i zarządzenia przymusowej nauki dzieci płci obojej, należących do stanu podatkowego.

— Zatwierdzone przez ministra rolnictwa i dóbr państwa kursy pszczelniczo-ogrodnicze w Warszawie obejmowały jedynie uczniów płci męzkiej. Kobiety uczęszczały tylko jako praktykantki. Obecnie pozwolono przyjmować uczenice na tych samych warunkach, co i mężczyzn, z zastrzeżeniem, aby wykłady i zajęcia praktyczne odbywały się współrzędnie.

Zdrowie publiczne. Z polecenia ministeryum oświaty, radom pedagogicznym szkół średnich w Królestwie Polskiem przesłało do rozpoznania sprawę stworzenia pomocy dentystycznej dla uczniów.

Zapis. Zmarła w tych dniach Marya z Pawłowskich Jankowska poczyniła następujące zapisy: Na założenie ochronki im testatorki w Warszawie dla dzieci polskich wyznania katolickiego 30,000 rb. Szpitalowi dla dzieci przy ul. Aleksandrya w Warszawie na fundusz wieczysty 10,000 (z procentów utrzymanie trzech łóżek). Instytutowi głuchoniemych i ociemniałych 20,000 jako fundusz wieczysty, z którego procent będzie obracany dla niezamożnych chłopców wyznania katolickiego, kończących nauki. Na zakład paralityków fundacyi Sobańskich jako fundusz wieczysty 10,000. Na szpital oftalmiczny im. ks. Lubomirskiego 5,000 (fundusz wieczysty). Na kościół św. Aleksandra 5,000. Na budowę kościoła św. Floryana 10,000. Kasie im. Mianowskiego 20,000 na wydawnictwo dzieł wyłącznie w języku polskim. Dla Akademii Umiejętności w Krakowie 20,000, jako fundusz wieczysty, z warunkiem, ażeby procent był obracany na kształcenie się w Krakowie młodzieży polskiej wyznania katolickiego, z pierwszeństwem dla pochodzących z Królestwa Polskiego. Na założenie kasy cyrkułowej pożyczkowej dla robotników i rzemieślników warszawskich Polaków 10,000. Na ochronę przy ul. Tamka 15,000 dla sierot. Na kolonie letnie 5,000. Na przytułek dla ubogich, wychodzących ze szpitali warszawskich, 5,000 (fundusz wieczysty). Na budowę własnego domu schronienia nauczycielek w Warszawie 3,000. Na utrzymanie przy Politechnice warszawskiej pięciu stypendyów dla niezamożnych studentów Polaków 15,000. Na dom schronienia (dawniej Przytulisko) przy ul. Wilczej 3,000. Na Towarzystwo opieki nad ubogiemi matkami i ich dziećmi 5,000. Dozorowi cmentarnemu na Powązkach, jako fundusz wieczysty 2,300. Ogółem zapisy te wynoszą 193,300 rb.

Ofiara. W Łodzi fabrykant, p. Zygmunt Jarociński, ofiarował 40,000 rb. na budowę żydowskiej szkoły rzemiosł.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyi ma rozpatrywać wkrótce sprawę zaprowadzenia miejsc numerowanych w wagonach wszystkich trzech klas pociągów bezpośredniej komunikacyi na liniach Petersburg-Kijów i Petersburg-Odesa.

— Dzienniki rosyjskie donoszą, że przez cały czas trwania wystawy wszechświatowej w Paryżu, pomiędzy Warszawą a Paryżem będą kursowały pociągi bezpośredniej komunikacyi, bez przesiadania.

Wystawy i zjazdy. Zjazd elektrotechników z całego państwa odbędzie się r. b. w Petersburgu.

— D. 10 b. m. odbył się w Kaliszu zjazd piwowarów z gub. Kaliskiej i Piotrkowskiej. Przybyło ich zaledwie ośmiu.

— Na zjazd weterynarzy w Petersburgu wysłano jako delegatów z Królestwa Polskiego: p. Henryka Kotlubaja z Warszawy i p. Kleszkiela z Piotrkowa.

— W połowie czerwca odbędzie się w Petersburgu zjazd młynarzy, na którym między innemi rozpatrywany ma być referat p. Daniłowskiego o przyczynach wysokich taryf przy asekurowaniu młynów. Referent zaproponuje środki, które wpłynąć mają na zniżenie ceny asekuracyjnej w przedsiębiorstwach handlowych i postawi wniosek zawiązania Towarzystwa kredytu dla młynarzy.

— W Krakowie otwarto wystawę pracy kobiecej.

Zmarli. Dr. Teofil Rewoliński, w Radomiu. Założyciel *Gazety Radomskiej*. Zasilał dawniej pisma lekarskie. Z zamiłowaniem zajmował się numizmatyką. Przez czas długi był inspektorem gubernialnym lekarskim w Radomiu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Dr. St. w Charlottenb. Numery z r. 1885 wyczerpane.

Panu J. Zw. Pomysł dobry, ale nierozwinięty w zbyt pobieżnym szkicu.

Panu L. R. Naprzód to nie jest sonet, mający określoną formę, a powtóre nie ma żadnej wartości artystycznej.

Panu K. Dz. w Ufie. Tygodniki wogóle nie stanowią silnie rozwiniętej gałęzi dziennikarstwa francuskiego, które głównie rozrosło się w dziennikach. Żadnego więc wskazać Panu nie możemy.

St. Mi. Pomimo kilku barwnych wyrażeń, całość obrazu niejasna. „Grzywy śnieżno-pienne" — niemożliwe.

Panu Wacł. Nie. Bez artyzmu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 14 Мая 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.